Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

PAX

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII | Warszawa, dn. 15 stycznia 1956 r. | Nr 2 (528)

CIV 9013

STEFAN J. KUROWSKI

O DWÓCH POSTAWACH I DWÓCH DYSKUSJACH

NA rzeczy trzeba patrzeć ujmując je w ich wszechwiązku z całością zjawisk oraz badając je w rozwoju. Jeżeli przyjmiemy te d y r e k t y w y m e t o d o l o g i c z n e dialektyki i uzbrojeni w nie spojrzymy na naszą bieżącą rzeczywistość społeczno-kulturalną — płodność i odkrywczość takiego spojrzenia niewątpliwie obejmie również toczącą się obecnie dyskusję o kulturze, nauce i kilku innych równie ważnych sprawach. Obejmie i rzuci na nie nowe światło.

Dyskusja o kulturze rozpoczęta dialogiem dwóch akademików toczy się i nabiera rozmachu. Wprawdzie główny jej nurt płynie przez łamy „Przeglądu Kulturalnego", lecz i na szpaltach innych czasopism pojawiają się głosy włączające się do sporu i co więcej — rozszerzające i pogłębiające jego problematykę. Trzymiesięczny bilans dyskusji (od pierwszego artykułu prof. Schaffa) jest imponujący. Zabierało głos trzech członków zwyczajnych Polskiej Akademii Nauk i jeden członek korespondent; na łamach „Przeglądu Kulturalnego" wypowiedzieli się młodzi filozofowie, piszący stale w „Myśli Filozoficznej", jak również ludzie od dawna już nie piszący. „Nowa Kultura" z tej okazji otworzyła swoje literackie łamy dla szkiców o socjotechnice, a w łódzkiej „Kronice" również z tej okazji zabrał głos rektor Uniwersytetu. Ferment dyskusyjny trafił na szpalty młodointeligenckiego „Po prostu" i odezwał się echem w krakowskim „Życiu Literackim".

Sprawa jest więc ważna. Wydaje się nawet, że cała publicystyka społeczno - kulturalna w Polsce jest dziś zaangażowana w dyskusję o kulturze i nauce. Nie, nie wydaje się — tak jest istotnie. I jak wszystkie sprawy ważne, temat przekroczył ramy tej publicystyki: dyskutuje się dziś o nim w wielu i w bardzo różnych środowiskach, wprost, bezpośrednio, publicznie i prywatnie. To świadczy o skali zagadnienia. Nawet literaci, którzy toczyli ostatnio tak pasjonującą batalię dokoła poematu Ważyka, teraz jakby zamilkli, patrząc z oczekiwaniem, co też na dwudziestym drugim piętrze Pałacu Kultury i Nauki uradzą filozofowie.

A filozofowie rzeczywiście radzą. Jednak jak na filozofów przystało, ujmują zapewne rzecz zgodnie z postulatem metodologicznym, który wymieniliśmy na wstępie, ujmują przedmiot w związku z całością zjawisk. Pójdziemy ich śladem.

ZWROT KU REALIZMOWI

Czymże jest obecna dyskusja o kulturze i nauce, co ona oznacza? Czy wybuchła nagle i przypadkowo? Ku czemu zmierza? Oczywiście pytania te postawiliśmy po to, by w odpowiedzi ukazać właśnie zjawisko na szerokim tle, by wydobyć powiązania jakie istnieją między nim a całokształtem rzeczywistości społecznej, a w konsekwencji, aby lepiej je zrozumieć.

Dyskusja o kulturze i nauce nie rozpoczęła się nagle i przypadkowo. Została starannie przygotowana — przez bieg wypadków. Dyskusja o kulturze i nauce jest logicznym następstwem i ogniwem procesu, który rozpoczął się u nas przed dwoma laty i który w ciągu tego okresu stale rozszerza swój zasięg działania, stale pogłębia swoje pozycje wyjściowe, stale je akcentuje, wkraczając do coraz to nowych dziedzin życia i myśli. Dyskusja o kulturze i nauce jest nie tylko następstwem tej sytuacji, jest jej integralną częścią. Oderwać ją od całego zaplecza faktów społecznych, jakie za nią stoją, rozpatrywać ją w izolacji równa się zamazać jej społeczny, twórczy charakter, a w konsekwencji nie zrozumieć samej istoty zjawiska.

Nowa faza najogólniej biorąc polega na tym, że we wszystkich masowych procesach społecznych dokonuje się z w r o t w k i e r u n k u r e a l i z m u. Nie dokonał się on w postaci łagodnego ewolucyjnego przejścia, nie dokonał się w atmosferze sielanki i harmonii, lecz przeciwnie dokonał się i w dalszym ciągu się dokonuje w postaci zmian, które w miejsce starych, zużytych a nieraz i skompromitowanych wzorów i metod społecznego oddziaływania usiłują stworzyć nowe i lepsze wzory i metody. Zwrot w kierunku realizmu dokonuje się w ostrej walce nowego ze starym.

Jakież to siły musiały zostać pokonane, jakież to postawy i metody musiały zostać odrzucone, aby zwrot w kierunku realizmu mógł się dokonać? Najogólniej biorąc były to siły, postawy i metody idealistyczne. Idealistyczne w tym sformułowaniu oznacza — nie liczące się z faktami, lekceważące fakty, nie liczące się z obiektywną rzeczywistością, a w konsekwencji negujące istnienie faktów niezgodnych z przyjętymi schematami.

Żeby realizm mógł zatriumfować, owe postawy społeczne, manifestujące swoją pogardę dla faktów musiały zostać pokonane. Jest rzeczą jasną, że mogło to dokonać się tylko w walce. Proces ten nie jest jeszcze ukończony. Jest to proces trudny, jest to walka niepozbawiona niepowodzeń, w której istnieją cofnięcia i załamania, w której postawy idealistyczne czasem powracają i odzyskują utracony teren, ale w której ostatecznie zwycięża realizm.

Scharakteryzujmy niektóre fragmenty tej walki.

Pamiętamy teorię bezkonfliktowości. Głosiła ona, że w społeczeństwie, które zbudowało socjalizm, nie ma już konfliktów, gdyż wraz ze zniesieniem antagonistycznych klas, wraz ze zniesieniem wyzysku człowieka przez człowieka zniknęła sama przyczyna konfliktów. Teoria bezkonfliktowości głosiła swoją tezę, mimo że otaczająca rzeczywistość codziennym swym świadectwem zadawała jej kłam, mimo że otaczająca rzeczywistość świadczyła, iż tysiące i miliony losów ludzkich to losy pełne spięć dramatycznych i konfliktów, które choć pozbawione uwarunkowania klasowego są przeżywane przez jednostki ludzkie niezwykle silnie.

U źródeł poglądu o braku konfliktów leżała postawa na wskroś idealistyczna.

Teoria bezkonfliktowości wyrządziła poważne szkody twórczości dramatycznej, gdyż przekreślała w ogóle istotę i sens dramatu. Na gruncie krytyki tej dziedziny sztuki została też ostatecznie przezwyciężona. Nie potrzeba jednak chyba dodawać, że jej korzenie tkwiły znacznie głębiej niż w koncepcji dramatu, jak również jej zasięg oddziaływania był znacznie szerszy.

Nieco później uświadomiono sobie zjawisko schematyzmu w literaturze. Schematyzm jako swoista maniera twórczości literackiej polegał na tworzeniu bohaterów ubogich pod względem psychologicznej treści i działających w sytuacjach uproszczonych, zredukowanych do kilku wybranych stosunków. Utwór literacki zbudowany według tych zasad nie mógł, rzecz jasna, oddawać prawdy życiowej i swoją legitymację użyteczności społecznej musiał przenieść na inny grunt — na grunt tzw. lakiernictwa.

Skąd jednak schematyzm czerpał swoje uzasadnienie? Jeżeli z ogromnego bogactwa rzeczywistości pozwalał w dziele literackim uwzględnić tylko niewielkie jej okruchy, jeżeli całą resztę, która nie mieściła się w uproszczonych konstrukcjach idealistycznych uznawał za niegodną wzmianki — to ta konsekwentna maniera musiała, rzecz jasna, wypływać z jakiegoś zasadniczego stosunku do rzeczywistości, stosunku, w którym realne fakty grały jedynie podrzędną rolę. Taki stosunek do rzeczywistości należy określić jako idealistyczny.

W toku wielkich dyskusji literackich schematyzm jako teoria, jako kanon estetyczny i metodologiczny został przezwyciężony. Ale niezupełnie. Pozycje idealistów w literaturze są jeszcze silne.

Natomiast w innych dziedzinach realizm zwycięsko rewiduje narosłe mity. Na przykład w plastyce. Nie chodzi tu, rzecz jasna, o realizm w znaczeniu określonej konwencji artystycznej, kierunku czy szkoły malarskiej. Mówiąc o zwycięstwie realizmu w plastyce mamy na myśli, tak jak poprzednio zwrot, jaki dokonał się i dokonuje w kierunku zgodności stosowanych kryteriów i ocen z faktami, z rzeczywistością artystyczną w plastyce. A rzeczywistość ta, to pewien obiektywny stan rozwoju sztuki, pewne obiektywnie istniejące tendencje rozwojowe, pewna obiektywna specyfika etapu, na którym sztuka się znajduje. Jeśli ktoś gwałci tę obiektywną rzeczywistość, a gwałci ją wtedy, gdy usiłuje wypaczyć i zmienić kierunek rozwoju sztuki, gdy usiłuje sztukę cofnąć, gdy przykłada do jej dzieł kryteria i oceny innej epoki, to choćby to czynił wychodząc z konwencji realizmu jako określonego kierunku — realizm ten będzie formalny, a postawa, która nakazuje stosować tę konwencję artystyczną jest postawą idealistyczną, która nie chce uznać obiektywnych faktów w dziedzinie sztuki. Dlatego też dziś realistyczne jest nie to malarstwo, które posługuje się manierą szkoły monachijskiej i każe nam patrzeć na „realistyczne" obrazy z końca ubiegłego stulecia. Realizm jest to zgodność z faktami, jest to przyjęcie faktów do wiadomości. Zwycięstwo takiego realizmu w plastyce oznaczało, że przyjęto do wiadomości i uznano nową sztukę, że zgodnie z obiektywnym stanem rzeczy zwrócono się po inspirację artystyczną do tych nurtów, które rzeczywiście sztuce przodują.

Przykładem wspaniałego zwycięstwa realizmu jest historia ostatnich wydarzeń w architekturze. W architekturze, ze względu na ścisłe powiązanie strony artystycznej dzieła architektonicznego ze stroną techniczną i gospodarczą trudno jest utrzymać na dłuższą metę postawę idealistyczną, trudno jest tam lekceważyć fakty. Lecz z drugiej strony właśnie architektura ze względu na specyficzny walor i funkcję swych dzieł stanowi teren, gdzie pokusa zastosowania chwytów idealistycznych jest szczególnie silna. Toteż architektura okresu wczorajszego stała się domeną najdzikszej wprost maniery idealistycznej. Zwrot ku realizmowi przyszedł nagle, ale okazał się tym gwałtowniejszy. Od wstrząsu, jaki wskutek tego nastąpił, zakołysały się filarki fałszywego monumentalizmu różnych pseudo-arcydzieł.

Renesans postawy realistycznej nie ograniczył się tylko do terenu sztuki. Choć z pewną trudnością dokonał się i dokonuje się w dalszym ciągu również i w innych dziedzinach życia. Szeroka dyskusja objęła sprawę programów nauczania i organizację szkolnictwa. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że istniejące programy i podręczniki szkolne nie dostarczają młodzieży dostatecznej wiedzy pozytywnej. Rewizja tego stanu rzeczy to wynik zwycięstwa realizmu.

W polityce gospodarczej nowy duch realizmu wyraził się w postawieniu programu podwyższenia stopy życiowej ludności, a co za tym idzie, w postawieniu programu podniesienia rolnictwa. Utrzymując słuszny kanon o prymacie przemysłu ciężkiego i potrzebie nieustannego umacniania obronności kraju, stwierdzono realistycznie, że dalsze nienadążanie rolnictwa za rozwojem pozostałej gospodarki narodowej szkodziłoby budownictwu socjalistycznemu. Stwierdzono realistycznie, że w toku budownictwa socjalistycznego należy szybciej niż dotąd podnosić stopę życiową ludności.

Postawa realistyczna zaczęła sobie torować drogę w dziedzinie informacji. Prasa poczęła dostrzegać z jednej strony czytelnika a z drugiej strony olbrzymi świat faktów, o którym tego czytelnika trzeba informować.

Postawa realistyczna doszła do głosu przy ocenie stanu techniki, w wyniku szerokiej konfrontacji postępu technicznego różnych krajów.

Postawa realistyczna zaostrzyła zdolność widzenia u moralistów i społeczników, którzy poczęli dostrzegać wielkie problemy moralne naszych czasów: problem rodziny i problem wychowania młodzieży.

Postawa realistyczna wzbogaciła naszą wiedzę o rzeczywistości społecznej i zbliżyła tę rzeczywistość do człowieka.

O DWÓCH POSTAWACH W NAUCE

W okresie, w którym postawy idealistyczne zaciążyły na naszym życiu — w nauce dominowały one w szczególnie wysokim stopniu. Ale też tam stanowiły największe niebezpieczeństwo. Nauka jest to bowiem taki system wartości, który ex definitione, z samej swojej istoty jest zdolny do istnienia i rozwoju tylko w atmosferze realizmu, tylko w oparciu o fakty. Sytuacja była poważna już wtedy, gdy stan ten obejmował nauki humanistyczne. Stała się jednak groźna, gdy okazało się, że ma on tendencje do rozszerzenia się na pozostałe dziedziny wiedzy.

W tej sytuacji, gdy z jednej strony coraz to nowe obszary rzeczywistości społeczno - kulturalnej ulegają ofensywie realizmu, gdy w toku pryncypialnych dyskusji dokonuje się rewizji, przezwyciężenia i odrzucenia idealistycznych schematów, a z drugiej strony, gdy niebezpieczeństwo zagrażające nauce wskutek nacisku postawy idealistycznej stało się groźne i bezpośrednie — w tej sytuacji musiała rozpocząć się dyskusja, której przedmiotem stały się twierdzenia stanowiące uogólnienia stanowisk metodologicznych, stały się systemy stanowiące uogólnienia nauk szczegółowych, stały się poglądy stanowiące uogólnienia poszczególnych postaw etycznych i estetycznych — czyli dyskusja o kulturze i nauce.

Jest jasne, że dyskusja o kulturze i nauce podjęta z tych stanowisk powinna wykazać, w jakim stopniu nauka, a zwłaszcza ta jej część, która jest określana, jako nauki humanistyczne, uległa wypaczeniom idealistycznym, jakie były przyczyny tych wypaczeń oraz jakie należy zastosować środki, aby w dziedzinie twórczości naukowej nastąpiło zwycięstwo postaw realistycznych. Żeby jednak pod tym kątem zanalizować poszczególne stanowiska i wypowiedzi w dyskusji, należy odpowiedzieć szczegółowo na pytanie: co w twórczości naukowej charakteryzuje postawę realistyczną, a co idealistyczną.

Realizm w tym znaczeniu, w jakim używamy tutaj tego pojęcia, oznacza stanowisko, które uznaje prymat obiektywnej rzeczywistości, prymat realnie istniejących faktów, nad tym, co o tych faktach myślimy. W twórczości naukowej taka postawa wyrazi się w tym, że nauka będzie się tworzyła w ścisłym oparciu o obiektywną rzeczywistość, że twierdzenia naukowe będą sprawdzane przez doświadczenie, a celem nauki będzie poznanie prawdy rozumianej jako zgodność z rzeczywistością. Z tego wynika, że nieodłącznym elementem postawy realistycznej jest krytycyzm, czyli taki stosunek do twierdzeń nauki, który pozwala odrzucić te z nich, które okażą się fałszywe. Prawo do tego krytycyzm czerpie stąd, że za jedyny probierz twierdzeń naukowych, za jedyne źródło, z którego one czerpią swoją wartość poznawczą, za ostateczną instancję ich prawdziwości uznaje realnie istniejące fakty i zgodność z tymi faktami. Dzięki krytycyzmowi, którego źródłem jest postawa realistyczna, twierdzenia naukowe nie mogą nigdy uzyskać wartości dla nich samych, lecz uzyskują wartość, czyli zostają przyjęte tylko wtedy, tylko o tyle i tylko tak długo, o ile i jak długo są zgodne z faktami.

Jasne jest, że tak scharakteryzowana postawa realistyczna jest warunkiem sine qua non istnienia i rozwoju wszelkiej nauki we współczesnym tego słowa znaczeniu.

Osłabienie stanowiska realistycznego doprowadza do wzmocnienia postawy idealistycznej. Postawa idealistyczna oznacza uznanie prymatu tego, co myśli się, że istnieje nad tym, co rzeczywiście istnieje, prymatu idealnych konstrukcji nad realnymi faktami, oznacza lekceważenie faktów, lekceważenie obiektywnej rzeczywistości posuwające się w krańcowych przypadkach do negowania istnienia tej rzeczywistości. Słynne heglowskie „tym gorzej dla faktów" jest sztandarowym zawołaniem wszystkich idealistów. Należy przy tym jednak zaznaczyć, że postawa idealistyczna w tym znaczeniu, o jakim tu mówimy, nie musi się koniecznie pokrywać z takimi stanowiskami filozoficznymi jak idealizm ontologiczny czy teoriopoznawczy. Źródeł jej należy szukać nie tyle w uświadomionych stanowiskach filozoficznych jej przedstawicieli, ile w obiektywnych społecznych uwarunkowaniach, jakim oni podlegają.

Jakie są konsekwencje postawy idealistycznej w nauce? Dominacja tej postawy sprawia, że twórczość naukowa zostaje oderwana od faktów, od obiektywnej rzeczywistości. To oderwanie wyraża się przy tym w trzech aspektach. Następuje idealizacja problematyki naukowej wskutek tego, że pytania stawiane przed nauką nie dotyczą obiektywnej rzeczywistości, nie mają na celu poznania faktów. Po drugie następuje idealizacja weryfikacji naukowej: wobec tego, że fakty obiektywne tracą swój prymat, nie będą one mogły być sprawdzianem twierdzeń naukowych, przekreślona zostanie więc rola doświadczenia. Twierdzenia naukowe będą sprawdzane nie przez zgodność z faktami, lecz przez zgodność z innymi uprzednio przyjętymi twierdzeniami. Nastąpi wreszcie idealizacja celu nauki, którym będzie nie poznanie rzeczywistości, lecz uzyskanie zgodności nowych twierdzeń z

(Dokończenie na str. 2)

Lew Tołstoj z córką

Wewnątrz numeru zamieszczamy artykuły o „Wojnie i pokoju": Aleksandra Rogalskiego „Na krawędzi życia i śmierci" i Stanisława Rembeka „Rozczarowania księcia Andrzeja".

DM 19/01

O DWÓCH POSTAWACH I DWÓCH DYSKUSJACH

(Dokończenie ze str. 1)

twierdzeniami dotychczasowymi. Rzecz jasna, że w postawie idealistycznej nie ma miejsca na krytycyzm. Jeżeli bowiem nie uznaje się faktów za sprawdzian twierdzeń naukowych, wobec tego niezgodność z tymi faktami nie uprawnia do odrzucenia tych twierdzeń. Uznanie za jedyny sprawdzian twierdzeń naukowych, ich zgodności z twierdzeniami uprzednio przyjętymi nie może prowadzić do krytycyzmu, gdyż zgodność ta uzyskana zostanie a priori (wyprowadza się tylko takie twierdzenia, które są zgodne z już uprzednio przyjętymi twierdzeniami). Oderwanie twierdzeń naukowych od obiektywnej rzeczywistości sprawi następnie, że główna ich dotychczasowa funkcja — wyjaśnianie rzeczywistości zostanie pomniejszona i zepchnięta na plan dalszy, natomiast ważne staną się inne funkcje oparte o właściwości fikcyjne, które zacznie się tym twierdzeniom przypisywać. Twierdzenia naukowe będą miały wartość i będą utrzymywane nie ze względu na to, co orzekają, lecz ze względu na to, że coś orzekają. Jeżeli jednak jakieś zjawisko zyskuje znaczenie nie przez swe natura — właściwości, czy przez funkcje, do których zostało powołane, a jedynie lub głównie przez właściwości które nie istnieją, które są fikcją — mówimy wówczas o fetyszyzacji tego zjawiska. Twierdzenia naukowe, które tracą swe uzasadnienie w wyjaśnianiu rzeczywistości muszą zostać podniesione do godności fetyszu, jeżeli mają być utrzymane. Z kolei fetyszyzacja twierdzeń naukowych jeszcze bardziej je oderwie od rzeczywistości, gdyż jeszcze bardziej zwiększy ich niezależność od tego, co może przynieść świadectwo faktów. Dzięki fetyszyzmowi twierdzenia naukowe są już nie odbiciem rzeczywistości, lecz zaczynają żyć samodzielnym życiem.

Jakkolwiek nastąpi idealizacja celu nauki, którym stanie się uzyskanie zgodności nowych twierdzeń z twierdzeniami dotychczasowymi, to jednak tak zbudowany system naukowy nie chce zrezygnować z atrybutu prawdy, jako zgodności tego, co on orzeka, z rzeczywistością, interpretując to jednak w ten sposób, że to, co jest rzeczywistością, jest zgodne z tym, co on orzeka. Postulując utrzymanie atrybutu prawdy system naukowy obciążony postawą idealistyczną jednocześnie odrzuca zgodność z rzeczywistością jako kryterium tej prawdy. Jeżeli więc twierdzenia prawdziwe nie mogą być weryfikowane przez rzeczywistość, a mimo to stosunek zgodności między twierdzeniami a rzeczywistością postuluje się — to rzeczywistość musi być weryfikowana przez twierdzenia. Pomijając konsekwencje ontologiczne takiego wniosku — w zakresie metodologicznych podstaw nauki prowadzi on bezpośrednio do dogmatyzmu. O ile bowiem jakieś twierdzenie orzeka coś o rzeczywistości, a jednocześnie nie może być przez tę rzeczywistość sprawdzone, to prawdziwość tego twierdzenia musi mieć charakter pozanaukowy, dogmatyczny.

Nie trzeba dodawać, że fetyszyzm i dogmatyzm twierdzeń naukowych wzmacniają się wzajemnie. Niemożliwość odrzucenia prawdy dogmatycznej wzmacnia ich znaczenie jako fetyszów, a z kolei fetyszyzacja utwierdza nienaruszalność dogmatów.

Doprowadzony do takiego stopnia idealizacji system naukowy przestaje już być nauką. To, co pozostaje — zbiór twierdzeń roszczących sobie prawo do naukowości — nie ma już znaczenia poznawczego, nie zwiększa naszej wiedzy o rzeczywistości i nie jest już zdolny do rozwoju. Czy może do czegoś służyć, czy może być użyteczny? Niewątpliwie, w pewnych warunkach tak, lecz będzie to użyteczność pozanaukowa.

W świetle powyższej analizy trzeba stwierdzić, że od przezwyciężenia stanowiska idealizmu zależą losy nauki. Należy więc spodziewać się, że dyskusja o nauce i kulturze, jaka wywiązała się w atmosferze umocnienia w wielu dziedzinach stanowisk realistycznych oraz w okresie uświadomienia sobie poważnych niebezpieczeństw grożących nauce wskutek wypaczeń idealistycznych — że dyskusja ta zanalizuje i podda krytyce postawy idealistyczne oraz sformułuje wnioski, które umożliwią obronę nauki.

Zreferujmy więc główne stanowiska w dyskusji.

STANOWISKO HUMANISTY W ROKU 1955

Pretekst do dyskusji był raczej przypadkowy. Przed dwoma laty prof. J. Chałasiński w recenzji ogłoszonej w „Nauce Polskiej" (nr 1-1954) ujemnie ocenił pracę M. Straszewskiej pt. „Czasopisma literackie w Królestwie Polskim w latach 1832—1848" (Wrocław 1953). W pracy tej autorka na podstawie badania czasopism literackich próbuje dać syntetyczną ocenę panującego typu kultury. Prof. Chałasiński zarzucił autorce braki metody naukowej oraz błędy faktyczne. Dokoła tej recenzji wywiązała się dyskusja, w której zabierały głos: „Pamiętnik Literacki" „Nowe Drogi" i „Trybuna Ludu". Prof. Chałasiński w „Nauce Polskiej" odpowiada parokrotnie i w jednym z artykułów z tej serii pt. „Inteligencja ludowa — Naukowy pogląd na świat — Upowszechnienie wiedzy i kultury" (NP nr 4/54) postawił problem wystarczalności systemu marksistowskiego i jego stosunku do naukowego poglądu na świat. W napisanym pół roku później artykule pt. „Zagadnienia kultury współczesnej w humanistyce polskiej — Szkoły w nauce — Instytuty naukowe" (N. P. nr 2/55) autor pogłębił problem, wysuwając na plan pierwszy sprawę badań naukowych i zjawisko monopolu jednej szkoły. Dopiero ten ostatni artykuł stał się punktem wyjścia dla gorączkowej kampanii dyskusyjnej, w której główny ciężar polemiki z prof. Chałasińskim podjął prof. A. Schaff, zamieszczając w „Przeglądzie Kulturalnym" trzy artykuły dyskusyjne, a mianowicie „O badaniach kultury i szkołach w nauce" (PK nr 37/55), Marksizm a rozwój polskiej humanistyki" (PK nr 44/55), „O pożyteczny program badań społecznych" (PK nr 45/55).

Konkretnym punktem wyjścia w dyskusji była sprawa tzw. teorii dwóch nurtów, która opiera się na twierdzeniu Lenina, iż w każdym narodzie istnieją dwie kultury: burżuazyjna i demokratyczna; przy czym z punktu widzenia postępu społecznego kultura burżuazyjna ma najczęściej charakter reakcyjny. Twierdzenie to stało się podstawą teorii dwóch nurtów w kulturze, która to teoria pozwalając zakwalifikować każde zjawisko kulturalne do jednego z dwóch nurtów, ściśle wiąże się z głównymi tezami materializmu o bazie i nadbudowie i o dominującej roli, również w dziedzinie kultury, jaką ma dla rozwoju społecznego walka klas. Prof. Chałasiński krytykując w swej recenzji pracę M. Straszewskiej zakwestionował tę teorię. Z dalszych wywodów prof. Chałasińskiego (artykuł w PK nr 39/55) wynika, że jego zdaniem twierdzenie Lenina o dwóch nurtach w kulturze należy rozumieć jako dyrektywę metodologiczną, która jednak nie wyczerpuje całej złożoności i bogactwa zjawisk kulturalnych. Z tego jednak wynika, że zastosowalność tej dyrektywy metodologicznej powinna być ograniczona do takiego zakresu, w jakim rzeczywiście jest przydatna, w jakim rzeczywiście przynosi wyniki, wykrywając prawidłowości w rozwoju kultury i podając uogólnienia faktów. O ile jednak badania kultury wykażą (a zdaniem prof. Chałasińskiego badania to wykazują), że pewne zjawiska rozwoju kultury nie mieszczą się w teorii dwóch nurtów, dla tego zakresu zjawisk należy przyjąć inną teorię kulturologiczną: teorię ciągłości rozwoju kulturalnego przez różne formacje społeczne oraz wielonurtowości kultury w każdej formacji.

Wnioski, jakie wyciągnął prof. Chałasiński, były konsekwencją relatywizacji teorii dwóch nurtów. Można je streścić następująco. Teoria dwóch nurtów nie tylko nie wyjaśnia (poza zakresem swej stosowalności) rozwoju kultury, ale olbrzymie obszary zjawisk kulturalnych pozostawia poza polem widzenia, nie jest zdolna do ich objęcia. Wobec tego badacz, który posługuje się teorią dwóch nurtów, pewnych ważnych zjawisk kultury nie może objąć badaniem. Należy, wychodząc z krytyki teorii dwóch nurtów, podjąć próbę oceny całej humanistyki. Prof. Chałasiński taką ocenę podejmuje. Jest to wprawdzie ocena syntetyczna, mowa tam jest głównie o filozofii (rozumianej łącznie z socjologią), ale uwagi autora odnoszą się do całej humanistyki, a więc również do literaturoznawstwa, psychologii, pedagogiki i historiografii.

Ocena przedstawia się następująco: głównym brakiem jaki wykazuje nasza humanistyka na przestrzeni dziesięciolecia, jest zaniedbanie problematyki, która dla tych nauk powinna być tematem centralnym: problematyki humanizmu, A humanizm to zdaniem prof. Chałasińskiego problem jednostki i moralności, problem życia duchowego człowieka, problem duchowej kultury i kultury ogólnoludzkiej. Nauki humanistyczne, a zwłaszcza filozofia (ciągle rozumiana łącznie z socjologią) przestały się rozwijać. Wyraziło się to: po pierwsze w braku żywych dyskusji naukowych toczących się dokoła nowych zagadnień, jakie przed nauką stawia jej rozwój i tok badań; po drugie w braku dorobku naukowego w skali międzynarodowej i wreszcie po trzecie — co jest najważniejsze — w niezdolności do podjęcia badań i uogólnień procesów współczesnych przeobrażeń kulturalno-moralnych, zachodzących w toku rewolucji. Jakie były przyczyny tego stanu rzeczy? Przyczyn należy szukać w podstawach metodologicznych i teoretycznych nauk humanistycznych. Zdaniem referowanego autora jako przyczyny trzeba wymienić m. in. przerosty funkcji politycznych systemu naukowego, niepełny dla objęcia całej problematyki kultury i humanizmu zasób pojęć w teoretyczno-naukowych systemach marksizmu tj. w materializmie dialektycznym i historycznym; monopolistyczne stanowisko jednej szkoły w humanistyce polskiej; niedocenianie roli i indywidualności uczonego w rozwoju twórczości naukowej; i wreszcie wynikająca z tych okoliczności tendencja do dogmatyzmu twierdzeń naukowych. Usunięcie tych przyczyn — oto środki jakie należy przedsięwziąć w celu wyjścia z impasu w humanistyce. Tak przedstawia się jedno stanowisko w dyskusji. Stanowisko to podzielają z prof. Chałasińskim — przynajmniej częściowo — prof. J. Szczepański, który dał temu wyraz na łamach „Kroniki" (nr 14/55) oraz prof. B. Suchodolski („Przegląd Kulturalny" nr 44/55).

DWIE ODPOWIEDZI

Zanim przejdziemy do zreferowania drugiego stanowiska musimy uwzględnić jeszcze jedną okoliczność. Prof. Schaff odpowiadając prof. Chałasińskiemu w pewnym momencie czyni mu zarzut ze śmiertelnego grzechu ahistoryzmu. „...zjawiska społeczne należy zawsze oceniać historycznie" — mówi prof. Schaff. Dyskusja o kulturze jest niewątpliwie zjawiskiem społecznym; żeby nie popełnić więc owego grzechu śmiertelnego należy i ją również ocenić historycznie. Jest to zgodne z owym postulatem, który postawiliśmy na wstępie, by rzeczy badać w ich rozwoju. Należy więc zapytać czy referowane tu poglądy prof. Chałasińskiego są zjawiskiem wyłącznie związanym z owym omawianym wyżej generalnym przełomem i zwrotem w kierunku realizmu, który od dwóch lat przeżywamy, czy też są może wyrazem dawniejszego nurtu w humanistyce, który już przedtem dochodził do głosu. Jeżeli ta druga alternatywa jest prawdziwa, wówczas należy uznać poglądy prof. Chałasińskiego za ogniwo w rozwoju tego nurtu i pod tym kątem je zbadać.

Przed kilku laty prof. Schaff miał okazję polemizować z podobnymi poglądami i opowiadać na podobne argumenty.

Co zawierały wówczas te odpowiedzi? Przedstawmy ich treść na podstawie artykułu prof. Schaffa „Marksizm a rozwój nauki" („Myśl współczesna" nr 6-7/1948 r.). Prof Schaff zaczyna od tego z czym się zgadza ze swym polemistą. „Zgadzamy się więc po pierwsze — pisze prof. Schaff — z postulatem radykalnego odrzucenia dogmatyzmu w postawie naukowej, na rzecz twórczego rozwoju wiedzy, której każde osiągnięcie siłą rzeczy musi posiadać walor jedynie historyczny, przejściowy, w sensie służenia, jako stopień na nieskończonej drodze wzwyż". Prof. Schaff dalej zgadza się, że rzeczywiście daje się zaobserwować w marksizmie pewien konserwatyzm i ostrożność w przyjmowaniu nowych osiągnięć naukowych, co więcej, zgadza się również, że marksizm pełni obok funkcji naukowej także funkcje wzmacniania więzi grupy wyznającej idee marksistowskie. Ale na tym też koniec zgody. Jeśli idzie o genezę stwierdzonych wyżej faktów — pogląd prof. Schaffa jest inny. Nie funkcja „religijna" systemu jest powodem stwierdzonego konserwatyzmu i tendencji do dogmatyzmu w marksizmie. Przeciwnie funkcja „religijna" pomaga funkcji naukowej. Pewna ostrożność w przyjmowaniu nowych twierdzeń naukowych wynika z dobrze rozumianej mądrosci politycznej marksizmu, natomiast istniejące dotąd braki i opóźnienia adaptacji współczesnego stanu wiedzy przez teorię marksistowską należy uznać za spuściznę okresu kapitalizmu kiedy to marksizm rozwijał się w podziemiu politycznym.

Najostrzej jednak prof. Schaff przeciwstawia się próbom uzupełnienia marksizmu na gruncie socjologii i poprawienia tego systemu na gruncie logiki formalnej. Nie ma i nie może być kompromisu między materializmem historycznym a burżuazyjną socjologią. Nie ma takich osiągnięć burżuazyjnej socjologii, które mogłyby być przyjęte przez marksistowską teorię rozwoju społecznego, które mogłyby ją uzupełniać. Również nie może być żadnej wątpliwości co do stosunku dialektyki do logiki formalnej. Dialektyka zakłada sprzeczną naturę bytu oraz sprzeczności tkwiące w zjawisku ruchu. Wynika z nich, że o każdym przedmiocie można orzec dwa zdania sprzeczne jednakowo prawdziwe. A więc dialektyka odrzuca logiczną zasadę sprzeczności.

Tyle prof. Schaff z 1948 roku.

Zobaczmy teraz jak zareagował prof. Schaff, gdy po ośmiu latach wypadło mu znów zetknąć się z poglądami, w których odżywają argumenty dawno zdawało się już przezwyciężone? Trzeba przede wszystkim stwierdzić, że ustosunkowanie się prof. Schaffa do swojego polemisty jest w roku 1955 znacznie poważniejsze niż przed ośmiu laty. Prof. Schaff podejmuje obecnie dyskusje na wiele zagadnień szczegółowych, w pewnych momentach wydaje się, że znajduje nawet wspólny język z wywodami polemisty.

Mimo jednak tak korzystnej różnicy w tonie zasadnicza strategia dyskusyjna prof. Schaffa pozostaje taka sama jak przed laty. A więc najpierw prof. Schaff zgadza się z faktami, to znaczy z oceną humanistyki, jaką dał prof. Chałasiński. Oczywiście zgoda ta nie przychodzi łatwo, poprzedza ją dłuższy wywód, w którym prof. Schaff upomina się, by „widzieć dynamikę rozwojową". W koncu jednak godzi się na ocenę prof. Chałasińskiego. Przytaczając jego słowa o zaniedbaniach filozofii pisze: „Czy należy zgodzić się z tymi słowami krytyki? Tak. Prof. Chałasiński słusznie wskazuje na wagę takich problemów, jak wyjasnienie genezy i rozwoju ogólnoludzkiej kultury, jak sprawy rewolucji moralnej w kraju, budującym socjalizm". Dalej prof. Schaff godzi się na dokonanie znacznie szerszego spojrzenia na ten kryzys humanistyki, gdy mówi: „Stawiając sprawę jasno należy stwierdzić, że filozofia marksistowska, stanowiąca historycznie przewrót w rozwoju filozofii i socjologii, cierpi od lat na przejawy zastoju. ...W filozofii, która z istoty swej, z najgłębszych założeń swej metody jest twórcza i konsekwentnie antydogmatyczna, która począwszy od swej genezy była najściślej związana z praktyką, od dłuższego czasu zaczęły gromadzić się oznaki dogmatyzmu, scholastyki, oderwania się od praktyki. ...Nawoływaniom programowym przeciw dogmatyzmowi towarzyszyły tu przejawy wyraźnego dogmatyzmu, bojaźni przed nową myślą i niskiego poziomu naukowego... ten stan w dużym stopniu utrudniał drogę rozwojową naszej humanistyce ku marksizmowi, odstręczał od marksizmu".

Prof. Schaff godzi się wreszcie z tezą, że w rozwoju nauki wielką rolę odgrywa indywidualność uczonego. W tym jednak momencie kończy się zgodność poglądów. Dalej, jak przed laty rozchodzą się już drogi obu polemistów. Nie ma więc zgody na to, jakoby przyczyną zastoju teoretycznej myśli marksistowskiej był „wiekowy konflikt między społeczno-polityczną, a kulturologiczną funkcją nowej filozofii". Nie ma zgody na próby uzupełnienia marksizmu przez „wzbogacenie zasobu jego kategorii". Nie ma wreszcie zgody na postulat dopuszczenia istnienia kilku szkół w naszej humanistyce. Na te wszystkie wywody prof. Chałasińskiego prof. Schaff nie może się zgodzić.

A JEDNAK INACZEJ...

Czyżby więc w ciągu ośmiu lat nic się nie zmieniło? Czyżbyśmy nie mogli wyjść z zamkniętego kręgu, który polega na przyznawaniu faktów konserwatyzmu i zastoju teoretycznego, na deklaracjach walki z dogmatyzmem, a jednocześnie na negowaniu zasadniczych przyczyn tego stanu rzeczy i na odrzucaniu wszelkich środków proponowanych dla jego zmiany?

Nie. W ciągu ośmiu lat zaszły poważne zmiany. Ogólną sytuację tamtych dyskusji można scharakteryzować w ten sposób, że trudno sobie wyobrazić warunki mniej pomyślne dla przyjęcia poglądów tego typu, które znalazły wyraz w artykułach, z którymi prof. Schaff wówczas polemizował. Jeśli chociażby weźmiemy pod uwagę, że marksizm był wówczas w fazie pełnej ofensywy na stanowiska „oficjalnej nauki", że było to w przededniu zjednoczenia ruchu robotniczego — zrozumiemy, że nie była to odpowiednia chwila dla wysłuchiwania apelów, które w imię trzeźwości naukowej wzywały do rewizji i ograniczenia funkcji „religijnej" systemu. Jeśli tak spojrzymy na sytuację, to musimy stwierdzić, że autor tamtych artykułów był w swoich wystąpienach utopistą: nie wziął pod uwagę obiektywnych warunków społecznych, nie wziął pod uwagę tendencji rozwojowej tych warunków.

A jak wygląda sytuacja obecnie? Właśnie dlatego, żeby przedstawić te obiektywne warunki społeczne, które kształtują dzisiejszą sytuację i których obecna dyskusja jest wynikiem podjęliśmy poprzednio analizę dwóch postaw: realistycznej i idealistycznej. Co wykazała ta analiza? Analiza ta wykazała, że dokonuje się u nas zwrot w kierunku realizmu. A więc sytuacja jest u nas inna niż przed ośmiu laty, inne są również tendencje rozwojowe tej sytuacji.

Czy w takim razie zmiana sytuacji nie powinna znaleźć wyrazu w obecnym stanowisku prof. Schaffa? Powinna i rzeczywiście znajduje. Jakkolwiek bowiem ogólny schemat strategiczny, jaki przyjął w swej replice prof. Schaff jest obecnie taki sam, jak w r. 1948, to jednak w dwóch ważnych zagadnieniach w stanowisku tego uczonego zaszła zasadnicza różnica. Prof. Schaff nie godząc się z postawioną przez prof. Chałasińskiego diagnozą przyczyn zastoju humanistyki podejmuje samodzielną próbę odpowiedzi na to pytanie. I trzeba w tym miejscu z całym naciskiem podkreślić, że dokonana przez prof. Schaffa analiza społecznych uwarunkowań zastoju i dogmatyzmu teoretycznej myśli marksistowskiej jest analizą niezwykle ambitną, śmiałą i wnikliwą. Analiza ta, świadcząca o rzetelnym wysiłku teoretyczno-poznawczym tego uczonego musi budzić szczery szacunek niezależnie od stanowiska merytorycznego, jakie się zajmuje.

Jest jeszcze i drugie zagadnienie, w którym prof. Schaff zajmuje obecnie inne stanowisko, niż przed ośmiu laty. Jest to zagadnienie stosunku dialektyki do logiki formalnej. Pamiętamy, że ówczesny profesor Uniwersytetu Łódzkiego nie miał żadnych wątpliwości, iż dialektyka pozostaje w konflikcie z logiką „tradycyjną", gdyż odrzuca zasadę sprzeczności. Tak uczyli klasycy i tak mówiła analiza antagonistycznej natury rzeczywistości, a zwłaszcza zjawiska ruchu. Dziś rektor INS ogłasza na łamach „Myśli Filozoficznej" kapitalną pracę pt. „Dialektyka marksistowska a zasada sprzeczności" (MF nr 3/55). W pracy tej autor stwierdza, że ów wiekowy konflikt był wiekowym nieporozumieniem i to w gruncie rzeczy nieporozumieniem raczej semantycznym. W swoim artykule wreszcie prof. Schaff pisze: „Sprawę stosunku marksizmu do logiki formalnej poruszył... Stanisław Ossowski w artykułach „Teoretyczne zadania marksizmu" oraz „Na szlakach marksizmu" słusznie wytykając błędność moich poglądów w tej sprawie".

I ta praca budzi szacunek. Trzeba było nielada wysiłku ze strony autora, by przełamać zastarzałe, narosłe od lat konwencje. Ale poza tym artykuł w „Myśli Filozoficznej" budzi optymizm. Stanowi on bowiem sygnał, że w nauce można znaleźć wspólny język. Dlatego też podjęcie dyskusji sprzed ośmiu lat nie jest już dziś utopią.

Stefan J. Kurowski

LITURGICZNY TYDZIEŃ

My, chrześcijanie, jesteśmy dziećmi czasu i dziećmi wieczności. Żyjemy w czasie, a jednak i ponad czasem. Odkąd Chrystus dał nam wieczne życie, otrzymaliśmy zapewnienie, że nie zaznamy śmierci. Żyjemy sprawami czasu, bo on jest dla nas drogą do celu wiecznego, środkiem, który ma nas do niego zaprowadzić.

Ta ciągła gra czasu i wieczności doskonale uwidacznia się w liturgii, która swą niezmiennością, swym umiarem, swą nieustanną chwałą Boga jest odbiciem wieczności, a przeżycie liturgiczne w pewien sposób — przeżywaniem wieczności. Z jednej strony słyszymy w liturgii Pawłowe: „One przeminą, a ty trwać będziesz. Wszystko zniszczeje, jak szaty stare; jako płaszcz, tak je zwiniesz, tak jak odzienie; i przemienią się. Lecz ty zawsze jesteś ten sam a lata twe nie mają końca", a z drugiej — ewangeliczne wezwanie do działania w porę, bo „nadejdzie noc, w której nikt nie będzie mógł działać".

Jeśli czas jest dla nas drogą do celu, musimy iść po niej, „odkupywać czas", wypełniać go Odkupieniem, zanurzać go w wieczności przez rok kościelny, przez liturgiczny tydzień. Rok liturgiczny, jak długa serpentyna, wijąca się dokoła potężnej góry, stopniowo, powolnym wznoszeniem się osiąga stromy wierzchołek. Co roku przebywamy tę samą drogę, lecz na wyższym poziomie aż po przebyciu wielu lat osiągniemy punkt końcowy, samego Chrystusa — nasz Cel. A etapami na tej drodze są liturgiczne tygodnie, wypełnione codzienną pracą i niedzielną Ofiarą.

Chrześcijański tydzień tkwi korzeniami w siedmiodniowym okresie czasu ludów semickich. W zwyczajach żydowskich po sześciu dniach pracy odbywało się w szabat poświęcenie tygodnia przez ofiarę w świątyni, zgromadzenia w synagodze i rygorystycznie przestrzegane powstrzymanie się od pracy. Ten świąteczny dzień sobotni przejęła też gmina jerozolimska, ale dodała do niego chrześcijańskie uzupełnienie, polegające na Ofierze eucharystycznej, przypadającej już dnia następnego, czyli pierwszego dnia tygodnia. Ten pierwszy dzień (prima sabbati) otrzymał nowe, chrześcijańskie określenie „Dnia Pańskiego" (Dies Dominica), co — na skutek ostrego przeciwstawienia żydowskiemu szabatowi — nadało mu wkrótce charakter właściwego dnia świętego chrześcijan. Wypełniać go miała eucharystyczna Ofiara i powstrzymanie się od zajęć wykonywanych zwykle przez niewolników. Jego myśl przewodnią tak opisuje św. Justyn: — „Zbieramy się w niedzielę, jest to dzień pierwszy, w którym Bóg przekształcając ciemności i materię stworzył świat, a Jezus Chrystus, nasz Zbawiciel, w tym właśnie dniu powstał z martwych". Pochwałę dzieła Stworzenia wypowiada liturgia słowami ps. 92: „Pan jest królem, odział się wielkością, odział się Pan mocą i przepasał się. Umocnił okrąg ziemi, który się nie zachwieje. Mocno stanął twój tron przed czasami, Tyś jest od wieczności. Ponad szum wielkich wód, ponad nawałności morskie, potężniejszy jest Pan na wysokościach". Wspaniałości dzieła Odkupienia wyraża liturgia słowami ps. 117: „Wysławiajcie Pana, bo dobry jest, bo wieczne jest Jego miłosierdzie. W ucisku wołałem do Pana, wysłuchał mnie i wywiódł na wolność. Nie umrę, ale będę żył i głosił dzieła Pana. Dziękuję Ci, żeś mnie wysłuchał i stałeś się moim zbawcą". Do tych dwóch motywów doszedł z czasem jeszcze trzeci, wspomnienie Ducha św., który w pierwszym dniu tygodnia zstąpił na apostołów. Od połączenia w jednym dniu radosnego i uroczystego wspominania trzech Osób Bożych bliska już była droga do uznania niedzieli za specjalny dzień Trójcy św.

Ten Dzień Pański, pierwszy dzień tygodnia, był początkowo jedynym dniem o wyraźnym charakterze liturgicznym. Z niego też wyłonił się powoli sakralny charakter pozostałych dni tygodnia. Jak cotygodniowym wspomnieniem wieczności była niedziela, tak i w dniach powszednich poczęły pobrzmiewać jej odległe echa.

Już samo określenie liturgicznego dnia powszedniego „feria", zaczerpnięte z klasycznego określenia dla różnych uroczystości antycznych, wyrażało dążność chrześcijan starożytnych do nadania piętna Bożego każdemu dniowi. Najpierw nabrały charakteru sakralnego dni złączone w szczególny sposób z ważniejszymi etapami dzieła Odkupienia: środa i piątek. Pierwszy jako wspomnienie zdrady Judasza, która zapoczątkowała mękę Chrystusową, drugi jako dzień Jego śmierci. Podczas tych dwóch dni zachowywano do godziny trzeciej po południu post, którego zakończeniem bywała zwykle Ofiara eucharystyczna.

W wieku IV rozciągnięto nazwę „feria" także na pozostałe dni tygodnia, łącząc z nimi publiczne modły i Ofiarę. Zarówno jednak teksty modlitewne, jak i formularze mszalne zachowały ścisły związek myślowy z liturgią poprzedzającej niedzieli, by podkreślać jedność liturgiczną całego tygodnia. Najlepiej uwidacznia się to w hymnach nieszpornych brewiarza, których głównym obrazem poetyckim są dzieła Stworzenia, rozłożone na poszczególne dni według opisu księgi Rodzaju. W radosnych inwokacjach ukazuje się Bóg, „Najlepszy Stwórca światła", „Niezmierny Stwórca nieba, który rozdziela strumienie wody", „Dobroczynny Stwórcu ziemi", który „barwi jasne obszary ziemi blaskiem ognistym", to znowu jako „Ojciec największej łaskawości, który kieruje machiną swiata". W ten sposób cały tydzień liturgiczny kształtował się jako jedna zwarta całość, a to poczucie jedności znalazło jeszcze dobitniejsze podkreślenie w zasadzie, że w ciągu jednego tygodnia należy w pacierzach kapłańskich odmówić wszystkie 150 psalmów.

Tygodnie liturgiczne, okresy kościelne i święta składają się na rok kościelny — barwną ilustrację bogactwa dzieł Stworzenia, Odkupienia i Uświęcenia. Różnorodność ta ma zapobiec spowszednieniu tego, co Największe i Najświętsze. Nie ma to jednak być tylko historycznym przypominaniem minionych wydarzeń, ale ta pielgrzymka po poszczególnych świętach i okresach liturgicznych ma rzeczywiście wskrzeszać i pobudzać, podtrzymywać i porządkować życie moralne wiernych, ich starania i wysiłki oraz przynosić właściwe każdemu świętu specjalne łaski, a w sercach tworzyć owo usposobienie, które Bóg miłuje i przez które On jest miłowany.

Ten głęboki sens chrześcijańskiego tygodnia, przesłonięty wybujałymi niekiedy w ciągu długich wieków okresami świątecznymi, przypomniała na nowo reforma kalendarza liturgicznego, która weszła w życie w dniu 1 stycznia bieżącego roku. Jednym z jej celów jest właśnie wycięcie i to niekiedy dość radykalne tych wybujałości i przywrócenie właściwej roli niedzieli i następujących po niej dni powszednich.

mediator

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-60-11 (15)). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5.

Zam. Nr. 2802
B-7-20155

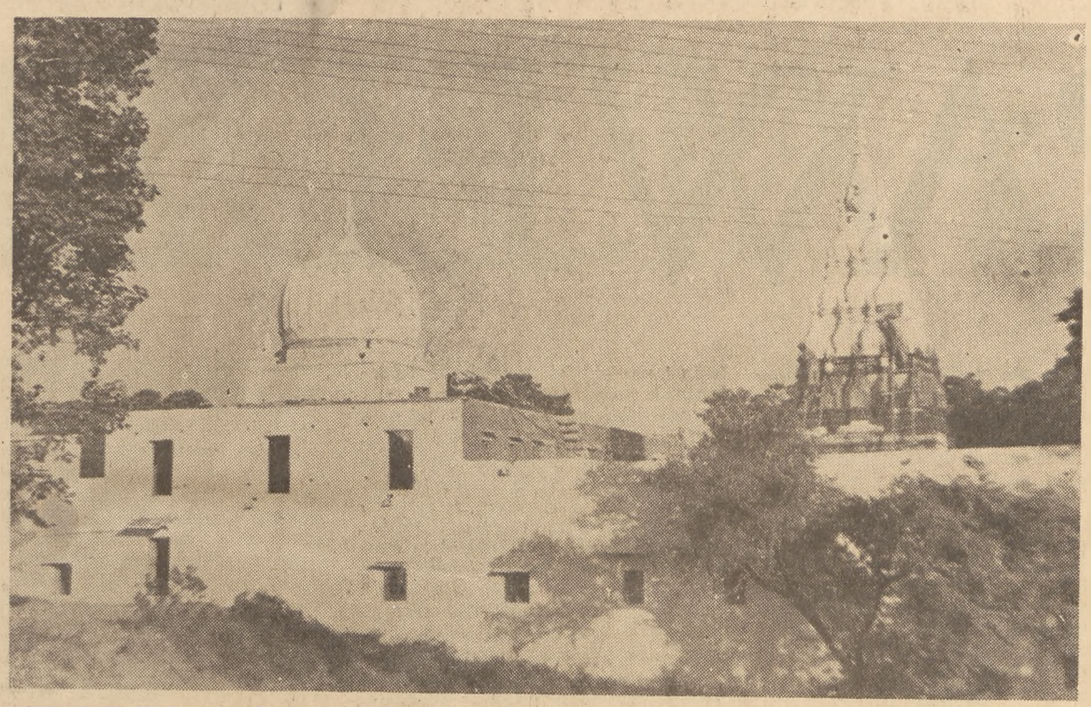

Droga do Ujjain. Świątynia niedaleko Shivapuri

BHASKAR

Chłopki w drodze na targ

25 listopad

WSTAJEMY wkrótce po wschodzie słońca i wyruszamy na miasto. Mimo wczesnej pory ruch jest olbrzymi. Setki samochodów prowadzonych z dużą szybkością przez brodatych Sikhów, dzwoniące ostro czerwone tramwaje, dwupiętrowe autobusy i obok tych współczesnych środków lokomocji przesuwają się powoli bardzo wysokie, obojętne na wszystko wielbłądy, dwukołowe arby zaprzężone w bawoły, osły objuczone zdawałoby się powyżej granic wytrzymałości. Chodnikami płynie barwny tłum migoczący najfantastyczniejszymi kolorami sari, bielą płóciennych strojów męskich i brązem gołych ciał nędzarzy.

Bombaj jest miastem, w którym współczesność miesza się z przeszłością. Obok pięknych pałaców i willi stoją zgrzybiałe, chylące się ku upadkowi domy o trudnym do określenia wieku. Domy te są odpychająco brudne, woniejące na setki metrów mieszaniną zapachów nie mytych ciał, kloacznych wyziewów i ostrych, korzennych przypraw.

Barwność tłumu, olbrzymi ruch uliczny, wrzaski przekupniów i tak odmienna od wszelkich znanych zapachów woń Wschodu, działają oszałamiająco. Rozprażony słońcem, zlany potem, idę jak błędny, na każdym kroku napotykając obrazy uderzające niezwykłością nieprzyzwyczajone oczy Europejczyka. Wszystko jest dziwne: sępy spadające jak piorun na upatrzoną padlinę, tańczące w takt piszczałek kobry, wychudzeni do ostatecznych granic żebracy natarczywie proszący o bakszysz, kobiety o zamyślonych, głębokich, czarnych oczach, ozdobione czerwonymi kropkami między mocno zarysowanymi brwiami.

Wiedziałem, że Indie są krajem kontrastów, w którym najpotworniejsza nędza miesza się z niezwykłym bogactwem, a wysublimowane koncepcje filozoficzne z prymitywem zewnętrznych przejawów religijności. Nie wiedziałem natomiast, że Indie są krajem smutku. Smutek ten wyrażający się w nękanym słońcem monotonnym pejzażu wiejskim, pochyleniu samotnej palmy, zagościł trwale w oczach hinduskiego ludu. W czasie włóczęgi po wielomilionowym Bombaju niemal nie widziałem uśmiechu. Nawet dzieci w czasie zabawy nie mogą spędzić ze swych oczu wyrazu zamyślenia. Uśmiech Hindusa jest skurczem mięśni twarzowych — oczy pozostają niezmiennie smutne, pełne głębokiej tęsknoty. Ale czy może być inaczej w kraju, w którym przeciętna wieku ludzkiego wynosi 32 lata, gdzie tysiące ludzi umiera z głodu, a przeszłość jest historią kolejno zmieniających się najeźdźców wyciskających krwawy pot z hinduskiego ludu?

26 listopad

JESTEŚMY w Delhi. Udało się ostatecznie przy dzielnej pomocy mr Mochado załatwić formalności w rządzie Bombaju i policji. Mamy prawo pobytu w Indiach do 30 listopada, co będzie po tym terminie, zobaczymy. Chwilowo nie warto się przejmować.

Przydrożni święci

1200 kilometrów z Bombaju do Delhi przelecieliśmy w cztery godziny, poczem nawiązaliśmy kontakt z Ambasadą. Mimo nawału zajęć Ambasador J. Grudziński przyjął nas późnym wieczorem w swym prywatnym mieszkaniu, ugościł doskonałym Porto, po czym przedstawił nam nęcącą propozycję wyjazdu samochodem do Ujjain (460 mil). W tym mieście, jednym z najstarszych w Indiach, odbywa się właśnie konferencja wszystkich religii hinduskich pod hasłem „Prawdziwa religia służy ludzkości". Z entuzjazmem podchwytujemy tę myśl i jako obserwatorzy obrad wyruszamy dziś pięknym czarnym Plymouthem z Delhi do Ujjain. Noc spędziliśmy w położonym daleko od centrum miasta hotelu Manor, w którym część pokojów zarezerwowana jest przez dyrekcję Pawilonu Polskiego na Targach w New Delhi. Przytulono nas tam gościnnie, po bezskutecznym poszukiwaniu miejsc w przepełnionych po brzegi hotelach delhijskich. Do snu przyśpiewywały nam szakale, podniecone widocznie pełnią księżyca zalewającego zimną poświatą fantastycznie powyginane drzewa i krzewy.

Chłodny ranek wyciągnął nas wcześnie spod cienkich kocyków. Szybko uwijamy się ze śniadaniem, poczem popełniamy nietakt w stosunku do gościnnej Dyrekcji. Wpłacamy mianowicie pieniądze portierowi hotelu, który liczy nam po 2,5 rupii od osoby za nocleg, natomiast powinniśmy zapłacić należność kasie Pawilonu po 20 rupii od osoby. Zabieramy pieniądze Hindusowi, nie płacimy z powodu chwilowego braku dewiz rodakom, ładujemy się do samochodu i wyruszamy „w świat". Bardzo przystojny kierowca o smagłej twarzy, orlim nosie i rękach artysty, prędko zyskuje sobie nasze zaufanie lawirując bez zmniejszenia szybkości między świętymi krowami, wielbłądami i niesfornymi rowerzystami, zalegającymi wąską szosę wyjazdową z Delhi. Siedzę koło niego, a będąc nieprzyzwyczajony do lewostronnego ruchu i takich niespodzianek na jezdni, jak np. nagle ukazujący się słoń, co chwila wydaje mi się, że muszę hamować czy wyciskać sprzęgło, aż wreszcie zmęczony pseudo-prowadzeniem wozu postanawiam patrzeć tylko w bok, a nie przed siebie.

Jedziemy ocienioną rodzajem akacji szosą mijając nędzne, ulepione z gliny wsie. Gołe dzieci baraszkują w błotnistych sadzawkach, kobiety krążą od studni do domostw niosąc na głowach baniaste naczynia z wodą. Mężczyźni siedzą z podkurczonymi nogami na przyzbach chat, gwarząc o bardzo ważnych na pewno sprawach. O ile na drogach panuje ożywiony, różnorodny ruch, o tyle na bezkresnych polach nic się nie dzieje. Gdzie niegdzie tylko widać bawoły ciągnące drewnianą sochę, lub pojedyncze postacie siedzące w kucki i lepiące na opał gliniane krążki zmieszane z nawozem. Wrażenie bezczynności pogłębia coraz bardziej powiększający się upał i bezruch liści nietkniętych najlżejszym nawet powiewem. Z martwotą wsi kontrastuje olbrzymi, w szczególności handlowy ruch na ulicach mijanych miasteczek.

Swoją drogą jak powierzchowne i nieprawdziwe są wrażenia wzrokowe! Przecież w rzeczywistości całe niemal życie Indii koncentruje się na wsi, ktorą zamieszkuje 295 milionów ludzi (82,7 proc.), podczas gdy w miastach zaledwie 62 miliony (17,3 proc.).

Strzałka szybkościomierza waha się między 50 a 60 milami na godzinę. W tym tempie mijamy dziesiątki świątyń, starych cmentarzysk, dawnych fortów. Po lunchu w Agrze przepływamy promem jakąś rzekę płynącą w ceglastym korycie spiętrzonych skał, drzewa liściaste ustępują miejsca palmom. Po przejechaniu około 100 km palmy znikają i jedziemy dżunglą. Odradzają się w pamięci cudowne opowiadania Kiplinga o jej niespokojnym życiu. Z asfaltowej szosy nie widać nic, co by świadczyło o romantyzmie, z jakim łączy się samo słowo „dżungla". Musimy uwierzyć na słowo kierowcy, że wśród gęstwiny ciągnącej się wokoło nas przemykają się tygrysy i jedynie poczciwe małpy z podniesionymi ogonami przypominają refren hymnu Bandar-Logow „Bracia, trza w górę ogon nieść!"

Czarnym, rozgwieżdżonym wieczorem dojeżdżamy w Shivapuri do Grand Hotelu, zresztą bardziej hotelu, niż Grandu. Kierowca uprzedza nas, że dalsza droga w nocy jest niebezpieczna, gdyż między Shivapuri a Guną grasuje banda rozbójników. Nie bardzo mu wierząc jadę na dworzec kolejowy, gdzie potwierdzają jego informacje. Wobec tego postanawiamy nocować w Grand Hotelu. Zamawiamy obiad i w oczekiwaniu na posiłek robimy coctail ze spirytusu Stanisława, aby godnie przygotować się na zjedzenie kilkuset milionów bakterii, które w tym dawno nieodnawianym hotelu na pewno przygotowują się do natarcia. Radosnym okrzykiem witamy smacznie wyglądające potrawy... Wraz z pierwszym kęsem w ustach oczy stają nam w słup, włos się jeży i chwytamy szklanki z wodą wypijając je duszkiem. Myślę, że te ilości pieprzu, papryki, szafranu i innych delicji, wystarczyłyby naszym żonom na wiele tygodni polskiego odżywienia.

27 listopad

O SZÓSTEJ rano wyjeżdżamy z Shivapuri i nie zatrzymując się w Gunie, dojeżdżamy około południa do Ujjain. Ponieważ kierowca nie zna miasta, telefonujemy ze stacji do Sekretariatu Konferencji. Wkrótce zjawia się młody człowiek na rowerze, z którym jedziemy do hotelu, gdzie oczekuje nas delegacja Sekretariatu i powitawszy ukłonem ze złożonymi jak do modlitwy rękami — wieńczy kwiatami. Potem wchodzi grono starszych panów, znowu bardzo poważne powitanie i nowe wieńce. Tym razem i my odpowiadamy hinduskim ukłonem, co wyraźnie podoba się gospodarzom. Ta forma powitania i pożegnania ma zresztą dużo uroku, zwłaszcza w wykonaniu gospodarzy, których twarz staje się w momencie złożenia rąk nadzwyczaj skupiona i pełna godności. Wypowiadane słowo „namastè", uzmysławia mi, dlaczego po polsku można powiedzieć, że się kogoś witało czy żegnało „z namaszczeniem".

Po lunchu, który spożyliśmy w towarzystwie stojących naokoło nas hinduskich przyjaciół, pojechaliśmy na konferencję. Z pojęciem konferencji łączy się obraz sali, krzeseł, stołu prezydialnego etc. To, co zobaczyliśmy, było czymś zupełnie odmiennym. Zajechaliśmy na wielki, pusty plac ozdobiony posążkiem Ghandiego, na którym rozpięte na palach płótna namiotowe osłaniały od słońca 2 tysięczny barwny tłum siedzący bez obuwia, z podkurczonymi nogami, na rozłożonych wprost na ziemi pasach białego płótna. Kobiety zgromadzone w jednym końcu „sali" oddzielone były od mężczyzn linami. Weszliśmy na podwyższenie, gdzie również „po turecku" siedziało kilkudziesięcioosobowe prezydium. W momencie naszego wejścia wszyscy powstali i skłoniliśmy się ku sobie znanym już gestem powitalnym, poczem założono nam na szyję wieńce. Przysunięto nam dość wysokie, wypchane włosiem wałki, na których zasiedliśmy, nie bardzo wiedząc, co dalej robić. Okazało się, że wałki winny służyć jako oparcie, a nie siedzenie. Wobec tego przyniesiono nam cztery fotele i zaczęliśmy się przysłuchiwać obradom toczącym się w języku hindu.

Konferencja wszystkich religii Indii została zainicjowana po raz pierwszy w ub roku, przez Munishri (świętego) Suskilkunarji Bhaskar, młodego ascetę religii jainistycznej. Jainowie, są to wyznawcy Jina — zwycięzcy, który to tytuł nosił twórca ich systemu filozoficznego i religii — Vardhamana. Jain, jest to człowiek, ktory przezwyciężył swą niższą naturę. Vardhamana żył od 599 r. przed Chr. do 527, a więc działał na krótko przed Buddą. Podobieństwa obu tych systemów skłoniły nawet niektórych naukowców europejskich do identyfikowania Vardhamana z Buddą, co stanowczo odrzuca nauka indyjska. Po 12 latach duchowych przygotowań Vardhamana otrzymał pełne oświecenie, został uznany za wszystko wiedzącego proroka i był nazywany Jinem (duchowym zwycięzcą), lub Mahavirą (wielkim bohaterem). Jainowie uznają istnienie rozumnej praprzyczyny wszechrzeczy, wielbią deifikowanych świętych, posiadają duchownych żyjących w celibacie i uważają za wielki grzech zabicie jakiegokolwiek stworzenia.

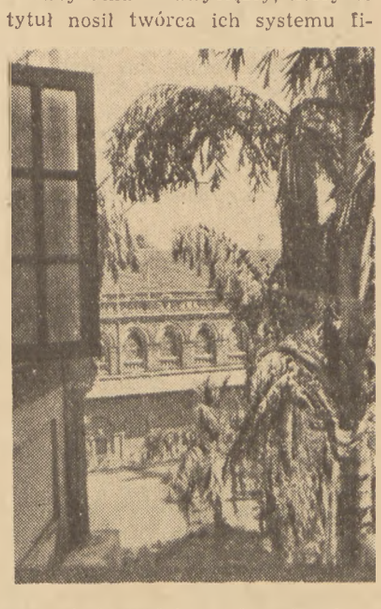

Bombaj. Widok z okna hotelu

Inicjator konferencji — Bhaskar jest młodym, 29-letnim ascetą posiadającym obszerną wiedzę o wszystkich religiach. Urodził się w szlachetnej rodzinie bramińskiej i od 7 roku życia rozpoczął życie duchowe, zaś w 1942 roku wszedł na drogę ascezy jainistycznej. Jest znany w Indiach nie tylko jako „święty", lecz również jako uczony, filozof i pisarz, oraz poliglota. Jak mówią o nim jego przyjaciele, jest nie osobą, lecz instytucją. Po tych informacjach nie dziwiliśmy się, gdy widzieliśmy, jak najstarsi i najpoważniejsi uczestnicy konferencji podchodzili do siedzącego w otoczeniu duchownych — jainów Bhaskara i oddawali mu głęboki ukłon.

Uujain. Prezydium Konferencji. (x) Munishri Bhaskar

Bhaskar siedział na niewielkim drewnianym podwyższeniu, gdy dano mi znać, że chce ze mną rozmawiać. Zbliżyłem się uwieńczony kwiatami do młodego człowieka o ciemnych włosach, silnie zarysowanych brwiach i skrytych za okularami, błyszczących żywą inteligencją oczach. Usta zasłaniał mu płócienny prostokąt. W ręku trzymał kij, na którego końcu znajdowała się biała, bawełniana miotła. Wskazał mi ręką miejsce przed sobą, więc usiadłem z podkurczonymi nogami.

— Zdejmij wieniec — powiedział Bhaskar.

— Dlaczego?

— Nie wolno mi dotykać kwiatów.

Odłożyłem wieniec, poczem Bhaskar serdecznie uścisnął mi dłoń i wyraził radość z naszego przybycia do Ujjain. Byłem w ciemnych okularach.

— Zdejmij okulary — rzekł Bhaskar — Bóg jest jeden i jest najwyższym, najdoskonalszym i najpełniejszym wyrazeniem się tych wszystkich sił, które są w duszy człowieka. Odnaleźć Go można w oczach bliźniego.

Zdjąłem okulary, a Bhaskar długo i przejmująco patrzył mi w oczy. Uścisnął mi rękę i powiedział, że chciałby z nami dłużej porozmawiać po zakończeniu zebrania.

Wróciłem na swoje miejsce, gdzie moi przyjaciele otoczeni byli tłumem łowców autografów. Ledwo usiadłem, wyciągnęły się do mnie dziesiątki rąk z notesami. Pisałem po polsku, pisałem po angielsku, przypominałem sobie różne aforyzmy, wymyślałem własne, wreszcie wyczerpany napisałem w 15 notesach tytuł znanego arcydzieła „Wlazł kotek na płotek" i stanowczo odmówiłem dalszych podpisów.

Zapadł zmierzch. Na „sali" zapłonęły lampy jarzeniowe. Duchowni różnych religii po kolei odśpiewywali jakieś monotonne zawodzenia, poczem obrady zostały zamknięte.

Zasiedliśmy na fotelach przed siedzącym „po turecku" Bhaskarem, tym razem na wysokiej ławie, ulokowanej w jakiejś komórce. My pozostawaliśmy pod gołym niebem.

— Czego chcecie się dowiedzieć?

— Co oznacza ten biały prostokąt zasłaniający usta?

— Abym zawsze pamiętał o wielkiej zasadzie Mahaviry non-violence, oraz aby żadne zywe stworzenie nie wpadło mi do ust, gdyż mógłbym je nieświadomie zabić.

— A jakie znaczenie ma ta biała miotła?

— Służy do usuwania sprzed nóg żyjątek, które mogłyby być przydeptane i zabite.

— Kto może być jainem?

— Każdy, kto wierzy w Boga, kocha bliźniego, sprzeciwia się gwałtowi, pragnie pokoju i chce poznać prawdę, nie tylko może być, ale jest jainem.

— Jakimi drogami dochodzi jain do prawdy?

— Na drodze medytacji i poznania. Poznanie jest pięciostopniowe: *mati* — zwykłe poznanie przez zmysły, *sruti* — jest to wiedza zdobyta przez poznanie znaków, symboli, znaczenia słów. Trzecim stopniem jest *avadhi* stanowiące bezpośrednią wiedzę o rzeczach w czasie i przestrzeni, zdobytą przez jasnowidzenie. *Manahparyaya* — jest wiedzą o myślach innych zdobytą na drodze telepatii. Piąty stopień, *kevala*, jest szczytem poznania, wiedzą doskonałą. Kevala jest właściwie wszechwiedzą nieograniczoną przez przestrzeń, czas lub przedmiot. Kevala jest niezależną od zmysłów i może być dostępna tylko dla czystych dusz wolnych od grzechu, stanowiąc poznanie nieskończone. Jako wiedza doskonała jest wolna od wątpliwości, zepsucia i nieokreśloności.

— Jaki jest ostateczny cel człowieka?

— Osiągnięcie nirwany.

— Pan wybaczy na pewno nierozsądne w pana rozumieniu pytanie, czym jest właściwie nirwana?

— Pytanie nie jest nierozsądne, a należałoby na nie odpowiedzieć całym traktatem. Odpowiadając powierzchownie: nirwana jest wiecznym zbawieniem duszy. Stanowi jej wyzwolenie a nie unicestwienie. Jest pozbawieniem ciała i myśli, ale zachowaniem bytu w stanie doskonałości, wolności od działania i pożądania, w stanie absolutnego spokoju i niezrównanego pokoju.

— Jaka jest droga do nirwany?

— Bezwzględne stosowanie w życiu zasad moralnych i pogłębianie cnót. Dzięki temu człowiek poprawia swą naturę i zapobiega swemu nowemu wcieleniu.

— Jakie są najważniejsze cnoty?

— Pozytywny stosunek do każdego stworzenia, miłość bliźniego i mówienie prawdy, prawość postępowania, czystość słowa, myśli i uczynku, wyrzeczenie się wszelkich zainteresowań światowych.

Bhaskar zamilkł. Czarne oczy fosforyzowały za szkłami okularów, utkwione w bezkresnym firmamencie.

Jerzy Hagmajer

ALEKSANDER ROGALSKI

NA KRAWĘDZI

I

RADOŚĆ *) życia, miłość życia, upojenie życiem, hymn na cześć życia — oto jak można by określić zasadniczą wymowę ideową „Wojny i pokoju". A przecież w tej wspaniałej symfonii bytu rozbrzmiewał niezwykle przykry dysonans, o którym nie da się już zapomnieć wśród zalewających nas zewsząd wrażeń pogody, wesela, uniesień i zachwytów.

Plamą zaciemniającą potężne słońce życia w „Wojnie i pokoju" są przeżycia Piotra Biezuchowa z okresu pobytu w niewoli francuskiej, a szczególnie jego nastroje i doznania wywołane uczestniczeniem w scenie rozstrzeliwania jeńców rosyjskich przez żołnierzy napoleońskich.

Czytając „Wojnę i pokój" dzisiaj, po drugiej wojnie światowej, jesteśmy być może bardziej wrażliwi na ową ciemną wizję życia, ukazaną przez pisarza w rozdziałach poświęconych opisowi jenieckich przejść Biezuchowa, niż czytelnicy dawniejsi, zwłaszcza dziewiętnastowieczni. Wzbogaciliśmy się bowiem taką wiedzą i takimi doświadczeniami, o jakich poprzednie generacje mogły mieć najwyżej tylko blade wyobrażenie. Przeżyliśmy epokę masowej, odartej z wszelkiego szacunku, nagiej śmierci. Cóż więc dziwnego, że w toku lektury owych miejsc powieści Tołstoja czujemy się mimo woli przeniesieni w klimat utworów Kafki (genialnego prekursora tej epoki), Camusa, Malraux czy Sartre'a, w klimat gwałtownej śmierci, koszmaru, absurdu i chaosu.

Piotr, który skazany został na śmierć tylko przez przypadek i tylko przez przypadek uniknął egzekucji, dostrzegłszy równe przerażenie na twarzach skazańców i wykonawców wyroku oraz śledząc nieubłagane, pospieszne działanie machiny śmierci, zadawał sobie pytania: „Kto ostatecznie miał go stracić, kto miał zabić, kto miał pozbawić życia, jego, Piotra, wraz z wszystkimi jego wspomnieniami, dążeniami, nadziejami i myślami? Kto to robił?... Co to wszystko znaczy? Któż to ostatecznie robi?" I tylko jedna odpowiedź mu się narzucała: „Zabijął go jakiś porządek". Działała „tajemnicza a bezduszna siła, nakazująca ludziom wbrew ich woli uśmiercać innych podobnych do nich ludzi". Więc „bezcelowa była obawa, bezcelowe wysiłki, aby ujść owej sile, bezcelowe było zwracanie się z prośbą lub perswazją do ludzi, którzy służyli jej za narzędzie".

Dotykamy tu jednego z głównych tematów powieści i opowiadań Kafki: człowiek, samotny człowiek postawiony w obliczu całkowicie nieznanej i niezrozumiałej instancji, działającej z precyzją i doskonałą bezdusznością automatu i następnie przez tę tajemniczą siłę wprawiony w ruch lub też unicestwiony. Dlaczego? — próżno o to pytać. Nie pomoże też wszelki sprzeciw: należy się poddać konieczności wyższej ponad wszelkie rozumienie ludzkie. Człowiek znalazł się w świecie całkowicie mu obcym, w więzieniu otoczonym murami, skąd nie ma żadnego wyjścia ani ocalenia. Tak się dzieje w „Zamku", tak jest w „Procesie", gdzie człowiek czuje się osaczony przez anonimowe moce.

Ale podobnie dzieje się w utworach Camusa. Centralnym ich tematem jest śmierć, a właściwiej mówiąc skazanie na śmierć. Dają one wyraz uczuciu niesprawiedliwości wyrządzonej człowiekowi, uczuciu tak intensywnemu, że pociąga za sobą wiarę w pozaludzką moc i istotę zła. Zarazem dają realistyczny obraz zła spadającego na człowieka, jak sęp spada na swą ofiarę, lub trzymającego go w swym władaniu z tępą, bezczasową monotonią. Rzeczywistość traci znamiona rzeczywistości i przeobraża się w koszmar, a człowiek — w istotę pozbawioną własnej woli, posługującą się tylko nieskoordynowanymi odruchami i zdolną jedynie do cząstkowego rozumienia tego, co się z nią i dokoła niej dzieje.

Przykładem tego jest właśnie scena egzekucji w „Wojnie i pokoju" oraz zachowanie się obecnego przy niej Piotra Biezuchowa.

Wszystko, co widzi i przeżywa Piotr, jest niesłychanie wyraźne i konkretne. Ale jednocześnie jest spowite mgłą grozy, niepojętości, fantasmagorii:

„Podprowadzono piątego więźnia, stojącego obok Piotra, tylko jego jednego. Piotr n i e z r o z u m i a ł, że jest uratowany i że zarówno jego jak i wszystkich pozostałych sprowadzono jedynie po to, aby asystowali przy egzekucji. Ze wzrastającym przerażeniem, nie odczuwając ani radości, ani uspokojenia, patrzał na dokonywane dzieło. Piąty był robotnik w kapocie. Gdy go dotknięto, przerażony odskoczył i uchwycił się Piotra, który drgnął i wyrwał mu się gwałtownie. Robotnik nie mógł iść. Krzyczał coś, kiedy go powleczono, trzymając pod pachy. Gdy go podciągnięto pod słup, nagle zamilkł, jak gdyby raptownie coś zrozumiał. Może pomyślał, iż niemożliwością jest, aby ludzie go zabili? Stał pod słupem, czekając na przywiązanie go wraz z innymi, i niby postrzelony zwierz rozglądał się dookoła błyszczącymi oczyma...

Piotr nie spuszczał z niego oczu i nie uronił ani jednego najmniejszego jego ruchu.

Prawdopodobnie rozległa się komenda, a po niej nastąpiły zapewne wystrzały z ośmiu karabinów, ale Piotr, jakkolwiek usilnie starał się to sobie później przypomnieć, n i e u s ł y s z a ł najsłabszego nawet dźwięku ani wystrzału. Zobaczył tylko, jak nie wiedzieć dlaczego robotnik nagle osunął się w sznurach, jak w dwóch miejscach ukazała się krew, jak owe sznury pod ciężarem zwisłego ciała rozwiązały się i skazaniec, nienaturalnie opuściwszy głowę i podwinąwszy pod siebie nogi, usiadł. Piotr podbiegł do słupa. Nikt go nie zatrzymywał. Wokół robotnika wystraszeni i bladzi ludzie coś robili. Jakiemuś staremu wąsatemu Francuzowi trzęsła się dolna szczęka, gdy odwiązywał sznury. Ciało upadło. Szybko i niezręcznie żołnierze powlekli je za słup i zaczęli spychać do dołu.

Było rzeczą oczywistą, iż nie wątpili o tym, że są przestępcami i że muszą jak najprędzej ukryć ślady swego przestępstwa.

Piotr zajrzał do dołu i zobaczył, że robotnik leży tam, podkurczonymi kolanami sięgając głowy, a jedno jego ramię jest wyżej niż drugie. Ramię to kurczowo a równomiernie wznosiło się i opadało. Ale już ziemia łopatami sypała się na ciało. Jeden z żołnierzy gniewnie, ze złością, boleśnie krzyknął na Piotra, żeby odszedł. Ale Piotr go n i e z r o z u m i a ł, stał przy słupie, a nikt go nie odpędzał.

Gdy dół został zasypany, rozległa się komenda. Piotra odprowadzono na miejsce, a francuscy żołnierze... miarowym krokiem zaczęli odchodzić...

Piotr patrzał b e z m y ś l n i e na strzelców, którzy parami wybiegali z koła..."

Czytelnik dzisiejszy w czasie lektury powyższych stron łatwo ulec może złudzeniu i zadać sobie pytanie, czy właściwie nie ma przed sobą jednej z niezliczonych relacji z „l'univers concentrationnaire", by posłużyć się tytułem głośnej książki Dawida Reusseta, opisującej przeżycia z hitlerowskich obozów śmierci, tych relacji, w których często zacierają się granice między rzeczywistością a światem koszmarnych snów.

II

POBYT Piotra Biezuchowa w niewoli francuskiej stanowił w jego życiu stosunkowo krótki epizod. Ale przeżycia jego z tego okresu bynajmniej nie posiadały charakteru czegoś epizodycznego. Jest charakterystyczne, że Biezuchow bynajmniej nie potraktował owego zabójstwa dokonanego na jeńcach rosyjskich jako konkretnego zła, które wprawdzie przeraża i wstrząsa, ale zarazem tym większy budzi gniew i złość, i tym większe siły wyzwala do walki z tym złem. Nie, Piotr Biezuchow nie myśli o tym ani na chwilę. W wypadku tym od razu dostrzegł oblicze ponadludzkie. Poczuł się przezen postawiony w obliczu całkiem nieoczekiwanego, nowego aspektu bytu. Przeniósł go on w sferę poznania ontologicznego i w sferze tej dokonał zniszczenia jego dotychczasowej konstrukcji, a zarazem otworzył przed nim bezdenną, nieokreśloną otchłań, która równie dobrze mogła być otchłanią nicości i absurdu, jak i otchłanią zła.

W dobitnych, choć zarazem nader zwięzłych słowach przedstawił Tołstoj następstwa wstrząsu, jakiego doznał jego bohater w najgłębszych pokładach swej duszy:

„Przyprowadzono go do baraków zbudowanych na polu z opalonych desek, bierwion i belek i wprowadzono do jednego z nich. Około dwudziestu ludzi otoczyło go w ciemności. Piotr patrzał na nich, nie rozumiejąc, kim ci ludzie są, po co tu przebywają i czego od niego chcą. Słyszał słowa, które do niego mówili, ale nie wyciągał z nich żadnych wniosków, bo nie rozumiał ich znaczenia. Odpowiadał na pytania, ale nie zdawał sobie sprawy, kto go słucha i jak będą jego odpowiedzi rozumiane. Patrzał na twarze i postacie, a wszystkie wydawały mu się jednakowo b e z s e n s o w n e.

Od chwili, gdy zobaczył owo straszne zabójstwo dokonane przez ludzi, którzy nie chcieli tego zrobić, z duszy Piotra jak gdyby nagle wyrwano sprężynę, na której wszystko się trzymało i wydawało żywe, a teraz runęło, tworząc b e z ł a d n ą k u p ę ś m i e c i. Jakkolwiek nie zdawał sobie z tego sprawy, w n i w e c o b r ó c o n a z o s t a ł a w n i m w i a r a w d o b r y u s t r ó j ś w i a t a, w d u s z ę c z ł o w i e k a i j e g o w i a r a w B o g a. Przedtem również doświadczał niekiedy tego uczucia, lecz nigdy z taką siłą, jak obecnie. Dawniej, gdy opadało go zwątpienie, miało ono źródła w jego winie. W głębi duszy czuł wówczas, że ratunek od tej rozpaczy i tych wątpliwości jest w nim samym. Teraz czuł, że nie ponosi winy za to, iż ś w i a t z a w a l i ł s i ę w j e g o o c z a c h i p o z o s t a ł y t y l k o b e z s e n s o w n e r u i n y. Czuł, że odzyskanie wiary w życie nie jest w jego mocy..."

Czyż przytoczony fragment nie robi wrażenia żywcem wyjętego z dzisiejszej literatury egzystencjalistycznej? Głównym przedmiotem tej literatury jest ukazanie człowieka stojącego nad otchłanią, która się nagle rozerwała pod jego stopami wskutek konkretnych przeżyć typowych dla „czasów pogardy", jest doprowadzenie myślenia ludzkiego do ostatecznych granic, jest kreślenie obrazu zdruzgotania tradycyjnego, pozytywnego systemu życia i ujawnienie, iż świat znajduje się w mocach demonicznych i chaotycznych, czyniących życie ludzkie całkowicie bezsensowne.

Piotr Biezuchow znalazł się w sytuacji, którą egzystencjaliści zwykli określać jako „sytuację graniczną", *Grenzsituation:* znalazł się w punkcie przecinania się życia i śmierci, nicości i istnienia, snu i rzeczywistości. Znalazł się w sytuacji, która powoduje gwałtownie zniszczenie konwencjonalnego, bezpiecznego obrazu świata i rodzi rozpacz i trwogę lub tępą rezygnację: „Takie właśnie sytuacje graniczne — na krawędzi życia i śmierci, wierności i zdrady, wytrzymałości i cierpienia, szczęścia i rozpaczy itd., stały się udziałem milionów ludzi (w czasie ostatniej wojny i okupacji przyp. — AR) i miliony ludzi poczęło sobie stawiać pytania dotyczące siebie samego i człowieka. Kim jestem naprawdę? Do czego jestem zdolny? Jak wytrzymam cierpienie? Jak splata się dobro i zło w życiu ludzkim? (Bogdan Suchodolski: „ O wielorakości i jedności egzystencjalizmu", „Przegląd Filozoficzny" 1947).

Zniszczenie obrazu świata dokonane w takiej sytuacji granicznej kulminuje w zniszczeniu wiary w Boga, albo też się z nim utożsamia, ponieważ u podstaw wiary w pozytywne wartości bytu, w sens bytu mieściła się, jeśli idzie o cywilizację zachodnio-europejską, właśnie wiara w Boga, źródło i przyczynę wszelkiego bytu i wszelkich wartości. Dlatego też dominującym motywem filozofii egzystencjalistycznej w różnych jej przejawach jest albo nieobecność, nieistnienie Boga chrześcijańskiego w świecie, albo też próba odbudowania z gruzów wiary w Niego. I taką samą logiczną konieczność znamionuje to, że wśród zdruzgotanych wartości u Piotra wymienia Tołstoj również wiarę w Boga podkreślając nadto, że jest to katastrofa tak straszliwa, iż jego bohater nie wierzy w swą zdolność do odzyskania utraconej wiary.

Nietzscheańska „śmierć Boga", zawalenie się świata, ruiny i chaos, bezsens, rozpacz i bezwyjściowość — to fakty i elementy zobrazowane zwięźle przez Tołstoja stały się przedmiotem nieskończonych analiz myślicieli i pisarzy egzystencjalistycznych i im podobnych. Celem ich jest próba zbudowania nowego obrazu życia i człowieka, obrazu dostosowanego do odkryć, jakie przyniosły wydarzenia i zjawiska z „sytuacji granicznych". Jest to jakby próba zbudowania gmachu nad otchłanią grozy i nicości, gmachu opartego — w braku fundamentów tradycyjnej wiary w Boga lub burżuazyjnego humanizmu — na rozpaczliwych wysiłkach samej jednostki ludzkiej czerpiącej siły i sens swego istnienia z dna swej rozpaczy, swego bezsensu i osamotnienia.

III

ZAPYTAJMY teraz, jaką postawę przybrał Piotr Biezuchow wyrzucony tak gwałtownie z kręgu swojej codzienności.

Otóż — rzecz wysoce znamienna — Piotr jakby zastyga w świadomości swej klęski, swego spustoszenia duchowego. Żyje, a raczej wegetuje nadal i nawet nie próbuje odbudować swego światopoglądu. A jednak powoli odradza się, przychodzi do siebie. Sprawia to wszakże nie wysiłek jego ducha, nie jego twórcza myśl, lecz okoliczności zewnętrzne: odrodził się dzięki przypadkowemu towarzyszowi niedoli, chłopu pańszczyźnianemu, Płatonowi Karatajewowi. Był dla niego objawieniem dobroci ludzkiej i mądrości, jakiegoś niebywałego umiłowania życia nawet w jego najbardziej przykrych postaciach i spontanicznej, niezachwianej, niewolącej swą prostotą i potęgą religijności. I dzięki Płatonowi Piotr poczuł, że „zniszczony przedtem świat powstaje mu znów w duszy w nowym pięknie i na jakichś nowych, niewzruszonych podstawach".

Lecz wspaniałość postaci Płatona Karatajewa i niezwykła sugestywność jego oddziaływania nie mogą nam przesłonić faktu, że między katastrofą a tym, co w jej miejsce zostało zbudowane w duszy Piotra, istnieje jaskrawa dysproporcja; skutek nie odpowiada tu przyczynie. Postawiono przed nami zagadnienie najwyższej doniosłości, lecz rozwiązano je w sposób, który uderza brakiem autentyczności intelektualnej.

Piotr Biezuchow ujrzawszy otchłań po prostu uciekł przed nią, postanowił o niej zapomnieć. Znalazłszy się w sytuacji człowieka, który nagle pojął całą fikcyjność swego bezpieczeństwa, całą swoją bezsilność w obliczu zła, grozy i śmierci, nie wyciągnął jak człowiek Heideggera czy Sartre'a z swych przeżyć należytych (co nie znaczy, rzecz jasna, nie podlegających dyskusji) konsekwencji, lecz właściwie wrócił w „banalność dnia powszedniego", chcć banalność ta, oczywiście, wyglądała w barakach jenieckich inaczej niż w salonach magnackich.

Ale zło, ale demoniczne siły nie przestawały istnieć nadal. Bo cóż znaczyło, że „brak cierpień, potrzeb, a skutkiem tego swoboda w wyborze sposobu życia, wydawały się teraz Piotrowi bezsprzecznym a najwyższym szczęściem człowieka"? Cóż z tego, że „dopiero teraz i tutaj po raz pierwszy ocenił w pełni rozkosz jedzenia, gdy chciało mu się jeść, picia, gdy chciało mu się pić, snu, gdy chciał spać" itd. — skoro to wszystko nie dostarczało mu sił do stawiania czoła złu czy owym bezimiennym siłom. I gdy razu pewnego zaczęła się nowa „akcja", jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, Piotr znowu czuje się wyrwany ze swej ciepłej, przytulnej i pozornie bezpiecznej codzienności:

„W baraku zrobiło się mroczno; z dwóch stron donośnie łomotały bębny zagłuszając jęki chorego.

Więc znowu!... Znowu!... — rzekł do siebie Pierre i mimowolny dreszcz przebiegł mu po plecach. W zmienionej twarzy kaprala, w dźwięku jego głosu, w podniecającym i ogłuszającym łomocie bębnów poznał o w ą t a j e m n i c z ą a b e z d u s z n ą s i ł ę, nakazującą ludziom wbrew ich woli uśmiercać innych podobnych do nich ludzi, ową siłę, której działanie widział podczas egzekucji. Bezcelowa była obawa, bezcelowe wysiłki, aby ujść o swej sile..."

Jak reaguje Piotr na ową tajemniczą siłę? Reaguje jak homo biologicus: stara się nie przyjmować do świadomości tego, co jest niebezpieczne, straszne i złe.

Pisze o tym wyraźnie Tołstoj:

„Dopiero teraz pojął całą moc siły życiowej człowieka oraz właściwą mu zbawczą zdolność o d w r a c a n i a u w a g i, podobną do zbawiennej klapy bezpieczeństwa w maszynach parowych, wypuszczającej nadmierną ilość pary, gdy prężność jej przekroczy określoną granicę.

N i e w i d z i a ł i n i e s ł y s z a ł, jak dobijano nie mogących nadążyć jeńców jakkolwiek w taki sposób zginęło ich już ponad setkę. N i e m y s l a ł o Karatajewie, który słabł z każdym dniem i którego najwidoczniej czekał wkrótce taki sam los. Jeszcze mniej myślał Pierre o s o b i e. Im trudniejsze stawało się jego położenie, im straszniejsza wydawała się przyszłość, tym częściej, niezależnie od tej sytuacji, w której się znalazł, przychodziły mu do głowy radosne i uspokajające myśli, wspomnienia i wyobrażenia".

W ten sposób Piotr roztapiał, rozcieńczał swoją trwogę zarówno w „powszedniej banalności", jak i w masie, z którą się identyfikował, w której ginął. Ale ucieczka od grozy jest zarazem ucieczką od perspektyw „życia autentycznego", by użyć pojęć filozofii egzystencjalistycznej, od własnej autentycznej osobowości, od swej wolności w obliczu losu, zakończonego śmiercią.

I Piotr Biezuchow nie zmieni tej postawy po powrocie z niewoli, do życia „normalnego". Przeciwnie, postawa ta przybierze u niego na intensywności — w pewnych chwilach wprawiając go nawet w stan euforii:

„Ach, jak dobrze! Jak świetnie!" — mówił Piotr do siebie, gdy mu przysuwano czysto nakryty stół z pachnącym rosołem, gdy kładł się na noc do miękkiego, czystego łóżka, albo gdy sobie przypomniał, że nie ma już ani Francuzów, ani żony. — Ach, jak doskonale! Jak świetnie! I ze starego nawyku zadawał sobie pytanie: „No, a co potem? Co będę robił?" Ale natychmiast odpowiadał sobie: „Nic. Będę czekał. Ach, jak świetnie".

Małżeństwo Piotra z Nataszą to jedna wielka i niezwykle piękna symfonia banalności, szczęśliwej, biologicznej sytości. Zniknęły wielkie metafizyczne problemy, w niepamięć poszły wstrząsające przeżycia. Uleciały nawet poezja i czar kobiecości z tej, która była samą poezją i samym czarem. Bo czytamy o Nataszy — żonie i matce kilkorga dzieci: „Rozrosła się i utyła tak, że

STANISŁAW REMBEK

Rozczarowania

„WOJNĘ I POKOJ" Lwa Tołstoja można by z łatwością podzielić na trzy całkowicie odrębne powieści, podobnie jak trylogię Sienkiewicza. Tylko że nie byłaby to trylogia — a triada heglowska. Trzy potężnych rozmiarów ilustracje do ówczesnego systemu filozoficznego autora. Tymczasem chciałbym rozpatrzyć tylko pierwszą z nich — tezę. Posiada ona charakter wybitnie historyczny: dziejów nie tworzą jednostki — tylko masy. A więc twierdzenie leżące u podstaw dzisiejszego materializmu historycznego? No, może niezupełnie.

Największe zdumienie budzi nieustraszona samodzielność myślenia Tołstoja, który dla dowiedzenia tej tezy wybrał sobie właśnie epokę działalności najwybitniejszej chyba — poza Aleksandrem Macedońskim — jednostki w dziejach i to w okresie najpotężniejszego nasilenia jej geniuszu. Niemniejszy podziw wywołuje fakt, że wielki Lew zdołał tę swoją tezę przeprowadzić, co prawda tylko częściowo, mianowicie w tej części, w jakiej przyjęli ją najwybitniejsi przedstawiciele marksizmu.

Bohaterem wydzielonej przeze mnie i „zredagowanej" pierwszej powieści jest — jak na to wskazuje sam tytuł — książę Andrzej Bołkoński. Posiadał on wszystkie dane do szczęścia: znakomite pochodzenie, majątek, urodę, wybitne stanowisko, pełne (może nawet nadmierne) uznanie dla swych uzdolnień, piękną żonę oczekującą potomka, ubóstwiającą go rodzinę... Mimo to nie czuł się szczęśliwy. Służył w wojsku, a na „...obowiązkowym i wolnym od zarzutu próżnowaniu polega i będzie polegał powab służby wojskowej..." Księciu nie dawały spokoju zwycięstwa Napoleona, którego uwielbiał, a zarazem pragnął przewyższyć, pokonać i przywrócić zakłócony przez tego genialnego rozbójnika społeczny i moralny ład na świecie.

O sposobność było łatwo, działo się to bowiem w 1804 r. Napoleon popełnił był właśnie dwie zbrodnie, które wstrząsnęły sumieniem świata, oczywiście „wielkiego" świata, świata salonów dworskich i innych: śmiał uzurpować sobie tytuł cesarza i kazał rozstrzelać członka prawowitej dynastii, księcia d'Enghien. Teraz już do zwalczających niezmordowanie „antychrysta" prawowitych monarchów Anglii, niezliczonych państewek włoskich i niemieckich — przyłączył się najpotężniejszy z nich, car Aleksander I. Salony petersburskie i moskiewskie dyszały żądzą zemsty. Oczywiście, nikomu chyba nie przyszło na myśl, że przed koronacją Aleksandra, późniejszego „anioła pokoju", któremu w 10 lat później wszędzie stawiano bramy triumfalne z arką Noego i nieodłączną gołębicą — trzeba było na gwałt szorować z krwi jego ojca posadzki, wywabiać krwawe plamy z dywanów, czyścić przybory koronacyjne... Nikt się nie zastanawiał, czy udział w morderstwie własnego ojca nie jest bardziej naganny od stracenia spiskowca i zdrajcy łączącego się ze wszystkimi wrogami własnej ojczyzny.

Wyjątkiem była tylko anielsko dobra siostra księcia Andrzeja, która odsunęła się od świata („wielkiego"). Doszła do przekonania, że tylko lud ze swoim prostym rozumem może posiąść prawdę. Od tego też ludu, reprezentowanego przez świętych pustelników i pustelnice, nauczyła się prawdy o świecie i o grzechu, którą głosiła w uniesieniu. A więc przede wszystkim nie ma przestępstw ani przestępców. „Nieszczęście zesłane jest przez Niego (zapewne Boga)... Ludzie, jego narzędzia, nie są niczemu winni... Nie mamy prawa karać". Zwłaszcza zaś jednostek stojących wysoko „na drabinie społecznej". „...Każdy czyn tych ludzi, który wydaje się im uzależniony od ich własnej woli, jest w znaczeniu historycznym niezależny od nich, pozostaje w związku z całym biegiem historii i jest od wieków zdeterminowany..." „Fatalizm w historii" jest nieodzowny do wyjaśniania bezsensownych zjawisk (to jest takich, których sensu nie rozumiemy)... „Czyny Napoleona i Aleksandra, których słowo, zdawałoby się, zdecydowało o dokonaniu się lub niedokonaniu całej sprawy, w równie małym stopniu wypływały z ich woli, jak czynności każdego żołnierza idącego na wojnę z poboru lub z wylosowania".

Prawd tych książę Andrzej nie zrozumiał od razu. Wierzył w decydującą rolę genialnej jednostki w dziejach. Marzył o karierze Napoleona. Przypisywał ją — co najdziwniejsza — głównie jego odwadze. Tymczasem żadne ze znanych mi źródeł ówczesnych nie podkreśla tej cechy Wielkiego Korsykanina. Przeciwnie raczej, budzi on podziw, że pomimo wyjątkowej bojaźliwości potrafi zawsze, gdy zajdzie tego potrzeba, przezwyciężyć uczucie strachu. Tak właśnie było pod Arede. Jedyny raz w swym życiu sam jeden z chorągwią w ręku skoczył na silnie ostrzeliwany most, pociągając swe wojsko do świetnego zwycięstwa, a przede wszystkim ratując je być może od zagłady. Co prawda, potrafił zaraz dokoła tego wydarzenia, jak w ogóle dokoła własnej osoby, wytworzyć potężny rozgłos. Mało chybą było wówczas domów, nawet w Rosji, gdzie by nie jaśniał na ścianie obraz ilustrujący ten wspaniały moment. Niewątpliwie urzekł on

ŻYCIA i ŚMIERCI

w silnej tej matce trudno było poznać dawną szczupłą i ruchliwą Nataszę. Rysy jej twarzy ustaliły się i nosiły wyraz spokojnej miękkości i pogody. Obecnie często widziało się w Nataszy tylko twarz i ciało, n i e d o s t r z e g a ł o s i ę d u s z y. Widać było tylko silną i płodną samicę".

Było to życie szczęśliwe, bo bezproblemowe. Wszystkie sprawy układały się prosto i jasno: „Natasza potrzebowała męża. Dano jej tego męża. A mąż dał jej rodzinę. Nie widziała więc nie tylko potrzeby posiadania drugiego, lepszego, ale — ponieważ wszystkie jej wysiłki skierowane były na służenie mężowi i rodzinie — nie mogła sobie wyobrazić i nie widziała nawet żadnego powabu w wyobrażeniu sobie, co byłoby, gdyby było inaczej". Podobnie rzecz przedstawia się u Piotra.

Życiowa skuteczność, psychologiczna zrozumiałość, dobroczynność oddziaływania takiej postawy nie zdołają jednak odeprzeć narzucającej się tu myśli, że oznaczała ona wycofanie się z kręgu wielkich problemów egzystencjalnych, że była gloryfikacją ucieczki przed nimi. Wiemy, że wyrażała ona stanowisko samego Tołstoja z tego okresu, a Tomasz Mann, rzecz znamienna, określił je właśnie jako „ucieczkę z zamętu nierozwiązalnych problemów w święty animalizm życia małżeńskiego i rodzinnego" („Goethe und Tołstoi").

IV

M IĘDZY prawdą czy tajemnicą ontologiczną, kryjącą się za takimi straszliwymi wydarzeniami, jak egzekucja, a sferą, w jakiej rozwijają się zwykle losy ludzkie, w jakiej toczy się życie empiryczne bohaterów Tołstoja, nie ma pomostu, lecz istnieje przepaść. Dostrzegamy zatem w „Wojnie i pokoju" rozbicie jedności wizji bytu. Lecz na rozbicie tej jedności czy raczej na tę dwoistość złożył się jeszcze jeden element. Mam na myśli specyficzne przeżycia drugiego, obok Biezuchowa, głównego bohatera eposu Tołstoja: przeżycia księcia Andrzeja Bołkońskiego. I one posiadają charakter ontologiczny, nadzmysłowy i objawieniowy, ale w przeciwieństwie do przeżyć Piotra działają uszczęśliwiająco — są przejawem sił dodatnich. I otóż ta warstwa ontologiczna również tylko luźno zawisa nad teatrem ludzkich zdarzeń, przygód, nadziei i dążeń: nie zespala się z nim choćby tak, jak w eposie Homera świat bogów splata się ze swiatem ludzi, a nawet go determinuje — nie mówiąc już o takiej postaci harmonii ontologicznej, jakiej przykład dał Dante czy Claudel.

Zaznaczmy, że księciu Andrzejowi prawda o bycie objawia się również w sytuacjach, które określilibyśmy jako wybitnie „graniczne". Albowiem dzieje się to również na styku bytu i nicości, życia i śmierci.

Po raz pierwszy sytuacja taka powstała, gdy książę Andrzej odniósł ciężką ranę w czasie bitwy pod Austerlitz i porzucony leżał długo na wzgórzu Pratzeńskim. Tołstoj przedstawia jego przeżycia w tym momencie w sposób następujący: „...nie widział nic. Nie było nad nim nic prócz nieba, wysokiego, z powoli pełznącymi po nim szarymi obłokami. Jak cicho, jak spokojnie i uroczyście! Zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy uciekałem... pomyślał książę. Zupełnie inaczej płyną obłoki po tym wysokim, bezgranicznym niebie... Nie, nic prócz niego nie istnieje. Jakże mogłem przedtem nie widzieć tego wysokiego nieba? I jakże szczęśliwy jestem, że je nareszcie zobaczyłem! Tak! Wszystko poza tym bezgranicznym niebem jest marnością i fałszem. Ale nawet i tego nie ma, nie ma nic prócz ciszy i spokoju. Chwała Bogu"...

Ale książę Andrzej powróciwszy do zdrowia podobnie jak Pierre Biezuchow zanurza się w potok życia z jego małymi radościami i wielkimi cierpieniami, z jego kalejdoskopową zmiennością z jego poezją i jego szarością, choć odnosi się on do tego życia inaczej niż jego przyjaciel. Nie odrzucił nawet swych sceptycznych i ateistycznych, a co najmniej agnostycznych poglądów — jakby zapomniał o prawdzie objawionej mu mistycznie przez owo „wysokie, odwieczne niebo", które ujrzał nad sobą leżąc na polu austerlickim. Niebo dla niego jest na nowo tylko „posępnym, ciężkim sklepieniem", za którym kryje się — nicość.

Książę Andrzej jeszcze raz dozna olśniewających, mistycznych przeżyć. Jeszcze raz dane mu będzie przeżyć stan ekstatyczny, przy czym stan ten będzie trwać dłużej niż poprzednio i bogatsza treść go wypełni. Zakończy się jednak nie powrotem do zdrowia, lecz śmiercią.

Zostaje on znowu raniony na polu walki, ale tym razem już na ziemi ojczystej — stało się to bowiem w bitwie pod Borodino.

Jeszcze w przeddzień nawiedziły go nastroje niezwykle bliskie postaciom z powieści Sartre'a czy Camusa: wyobraził sobie swoją śmierć, swoje nieistnienie w świecie, nawet swego trupa i to w sposób bardzo obsesyjny i naturalistyczny: „...Przyjdą Francuzi, wezmą mnie za nogi i głowę. wrzucą do dołu, abym im nie cuchnął pod nosem... Ułożą się nowe warunki życia, do których inni się przyzwyczają, ale ja nie będę wiedział o nich, bo mnie nie będzie. — Spojrzał na pas brzóz niezmiennie żółtawo-zielonych, o białej korze, błyszczących w słońcu. Umrzeć... żeby mnie jutro zabili... żeby mnie nie było... Żeby wszystko to było, a mnie żeby nie było... Wyobraził sobie jasno swoją nieobecność w tym życiu. Brzozy ze swym blaskiem i cieniem, kędzierzawe obłoki, dym ognisk i wszystko dookoła nagle się dla niego zmieniło i stało się czymś strasznym i groźnym. Dreszcz przebiegł mu po plecach..."

Lecz następnego dnia, gdy odłamek pocisku potrzaskał mu kości biodra i poszarpał wnętrzności książę Andrzej zastanawiał się, dlaczego mu było przedtem bardzo żal rozstawać się z tym życiem. A w chwilę potem poznawszy w skrwawionym i szlochającym oficerze człowieka, którego uważał za swego największego wroga i krzywdziciela — poczuł się nagle owładnięty przez najwznioślejsze współczucie i miłość, przekształcającą się szybko w miłość uniwersalną do wszystkich ludzi na świecie, w miłość bezgraniczną, absolutną, identyczną z nawiedzeniem boskości. Zawieszony między życiem a śmiercią, ale bardziej już do śmierci należąc, rozważać będzie w kilka dni później, w przebłyskach świadomości, jakie to mu się szczęście objawiło, „szczęście, jakiego nie można człowiekowi odebrać, stworzone i przeznaczone danemu człowiekowi tylko przez samego Boga." „Doświadczyłem uczucia miłości najistotniejszej dla duszy, miłości, której niepotrzebny jest obiekt. I nawet teraz doznaję tego błogosławionego uczucia. Kochać bliźnich, kochać swych wrogów, kochać wszystko — to kochać Boga we wszelkich Jego przejawach... Kochając miłością ludzką, można od miłości przejść do nienawiści, ale miłość Boska nie może się zmienić. Nie, nawet śmierć nie może jej unicestwić. Jest ona istotą duszy..."

Rys. Gabriel Rechowicz

A jednak i tym razem mistyczne objawienia księcia Andrzeja nie znajdą realnego odbicia w życiu. Potoczy się ono po jego śmierci swoją zwykłą koleją.

V

D O jakich wniosków dochodzimy? Rozpatrując kosmos „Wojny i pokoju" od strony poruszających go praw i zasad dostrzegamy, że istnieją w nim dwa wymiary: wymiar empiryczny, doczesny, i wymiar nadprzyrodzony, nadrzędny, absolutny, i że ten ostatni rozszczepia się na sferę konstruktywną, anhelliczną i na sferę destruktywną, demoniczną. Jest to wyraźny relikt manicheizmu. Ale nie będziemy się teraz nad tym zatrzymywać. Idzie nam tylko o podkreślenie znamiennego momentu w ontologicznej architektonice eposu Tołstoja. Epos ten uderza pełnią obrazu i pełnią prawdy o człowieku, ale ukazany obraz nie posiada intelektualnej jednolitości.

Z czego to wypływa?

Tołstoj był i artystą, i myślicielem. Tworząc „Wojnę i pokój" był artystą całkowitym, ale jako myśliciel stanął jedynie w połowie drogi ziudnie przeświadczony o tym, że odbył już całą drogę. Ukazał pewne niezmiernie ważne prawdy, ale nie wysnuł z nich konsekwencji, przede wszystkim nie skonstruował w oparciu o nie harmonijnej przekonywającej wizji bytu: prawdy te położył obok siebie, a raczej nałożył jedną na drugą, jak dwa, bądź trzy odrębne bloki skalne.

Ale euforia genialnego epika nie na stałe trzymać będzie myśliciela w niedowładzie, w zwodniczym samozadowoleniu. Nie zdoła ona na długo zdemobilizować twórczej myśli namiętnego poszukiwania prawdy, człowieka, który ukazał egzystencję ludzką w przeraźliwie ostrym i nieubłaganym świetle „sytuacji granicznych".

Dowodem tego będzie już następne wielkie dzieło epickie Tołstoja: napisana w osiem lat później „Anna Karenina". Wrócą tam wszystkie „straszliwe pytania", pozostawione jakby w zawieszeniu w „Wojnie i pokoju", i zaatakują myśl twórcy ze zdwojoną potęgą. A jeszcze większym dowodem będą bezpośrednie, najosobistsze zmagania duchowe pisarza, trwające długie lata aż do samej jego śmierci, zmagania, których wstrząsające świadectwo znajdziemy w jego licznych utworach autobiograficznych i w olbrzymiej korespondencji.

*) Fragment większego studium.

księcia Andrzeja

księcia Andrzeja, który pod jego wpływem wysnuł następujący plan: pojedzie na pomoc jego apostolskiej mości cesarzowi rzymskiemu narodu niemieckiego, w pierwszej walnej bitwie wyskoczy naprzód z chorągwią porywając za sobą do zwycięstwa „wylosowanych" żołnierzy, potem otrzyma natychmiast buławę wodza naczelnego, a następnie zacznie wykonywać swój własny pomysł przebudowy świata. O pomyśle tym czytelnik nie dowiaduje się niczego aż do samego końca.

Cały ten plan był jednak zbyt naiwny, jak na tak genialnego oficera, za jakiego wszyscy w powieści mają księcia Andrzeja. Jakże mógł on nie widzieć, że jeżeli grenadierzy francuscy pod Arede, rzucili się za Napoleonem, to tylko dlatego, że go znali i że wierzyli święcie, iż wyprowadzi on ich z groźnego niebezpieczeństwa, bo wyprowadzał już wielokrotnie? Jest natomiast więcej niż wątpliwe, czy by który rzucił się w morderczy ogień za całkowicie mu nieznanym oficerkiem sztabowym. Jakże mógł nie wiedzieć, sam będąc dworakiem, że buławy nie otrzymuje się na polu bitwy. Toż dla nikogo w ówczesnym świecie nie było tajemnicą, że nominację Napoleona na wodza armii włoskiej podpisał obywatel Barras na gołowalni swej kochanki obywatelki Józefiny Beauharnais ku oburzeniu wszystkich liniowych generałów. Jako pierwszy adiutant Kutuzowa nie mógł też nie wiedzieć, że i ten wódz w identyczny sposób osiągnął swą rangę. Musiał się również orientować, że rola wodza w najmniejszym stopniu polega na poruszaniu masami w samej bitwie (Kutuzow pod Borodinem wie o tym doskonale) — ale głównie na umiejętności zorganizowania tych mas, zaopatrywania oraz skupienia w decydującym momencie w odpowiednim punkcie.

Książę Andrzej poszedł tedy na wojnę. Porzucił młodziutką i piękną żonę, rozpaczającą w przeczuciu śmierci przy porodzie, opuścił zgrzybiałego niemal ojca, uwielbiającą go siostrę i poszedł tam, gdzie go wzywała sława, pod Braunau.

Wojna toczyła się już od miesiąca. Przybywające etapami wojska rosyjskie rozmieszczały się wokół wspomnianej twierdzy. Książę Andrzej jest świadkiem, jak wysłany przez cesarza austriackiego generał wszelkimi siłami stara się nakłonić Kutuzowa do natychmiastowego współdziałania. Ten wykręca się. Nie chce pójść pod komendę austriacką. Niedługo potem zjawia się niepoznany przez nikogo naczelny wódz austriacki, Mack. Z braku odsieczy utracił on pod Ulmem całą swoją armię. Wszystko to w powieści dzieje się 11 października (starego stylu) 1805 r.

Wtedy to książę Andrzej ujrzał po raz pierwszy, że wydarzenia dziejowe zależą od „miliarda przyczyn", z których „każda z osobna, jak również cały ich szereg wydają nam się w równym stopniu same w sobie, a zarazem w równym stopniu fałszywe ze względu na swą znikomość w porównaniu z doniosłością sprawy".

Wszystko to jest zapewne bardzo mądre i słuszne, ale tymczasem czytelnik z tego „miliarda przyczyn" widzi tylko jedną. Jest nią małostkowa ambicyjka Kutuzowa, która doprowadza do zagłady siły zbrojne sprzymierzeńca, a co gorsza, stawia w położeniu bez wyjścia własne wojska z dala od ojczyzny. Przecie gdyby nie ta ambicyjka, godna jakiegoś kancelisty z małego miasteczka, klęska pod Ulm mogłaby być zmieniona w najświetniejsze zwycięstwo. Z drugiej zaś strony uderza niesłychana lekkomyślność Napoleona. Musiał on chyba wiedzieć o koncentracji rosyjskiej pod Braunau. I w tych warunkach decyduje się mimo wszystko na tak potwornie ryzykancki manewr? To już zresztą trudno nazwać ryzykanctwem, tylko jakimś kuglarstwem. Czyżby i on wierzył w ten „miliard przyczyn"?

Na szczęście dla Napoleona świadczy za nim jego list do Bernadotte'a z 27 września. Wykłada on tam cały plan kampanii i przewiduje zniesienie Austriaków jeszcze przed nadejściem Rosjan. Rzeczywiście też w czasie kapitulacji pod Ulm dopiero poszczególne oddziały 30-tysięcznego korpusu Kutuzowa dochodziły znużone śmiertelnie, co Tołstoj wiernie odtwarza, do rzeki Inn; drugi — Buxhördena — wkraczał dopiero na Morawy, a trzeci — Benningsena — nie opuścił jeszcze nawet granic cesarstwa. Wydaje się więc, że Kutuzow wykazał raczej wiele zdrowego rozsądku i umiejętności przewidywania czekając na połączenie wszystkich swoich sił i nie wystawiając ich częściami na zagładę pod nieudolnym dowództwem austriackim. Wyjaśniał to nawet swemu ulubionemu adiutantowi, księciu Andrzejowi, ale ten nic już nie widział, albowiem „spadły mu już łuski z oczu".

Teraz następuje świetny, dwutygodniowy odwrót Kutuzowa. Ma on na celu ocalenie armii i połączenie z resztą sił austriacko-rosyjskich W oczach księcia Andrzeja jest to jednak tylko bezładny ruch mas instynktownie szukających dróg ocalenia i odnajdujących je znowu jedynie „dzięki miliardowi przyczyn". W oczach księcia Andrzeja wygląda to tak: Murat opanowuje mosty wiedeńskie podstępem. Oszukuje Austriaków, że zawarto rozejm. Kutuzow jest zgubiony. Aliści udaje mu się w identyczny sposób oszukać Murata i wstrzymać pościg. Reszty dokonuje bohaterski opór tylnej straży rosyjskiej pod Hollabrunn.

Książę Andrzej bierze udział w tej krwawej bitwie, na własną prośbę przydzielony do boku Bagrationa. Był to bohater, poległy później pod Moskwą i do dziś czczony przez naród rosyjski. Napoleon uważał go za najlepszego generała rosyjskiego. W oczach ks. Andrzeja jest on niemal pustym kabotynem, który nie orientuje się nawet, że utrzymanie pozycji zawdzięcza niepozornemu kapitanowi Tuszynowi. Sam Tuszyn również tego nawet nie przeczuwa. Wie o tym jedynie książę Andrzej i dlatego coraz bardziej rozczarowuje się do wiedzy i sztuki wojskowej.

Ale niejednemu czytelnikowi chodzą po głowie różne przekorne myśli np. w sprawie podstępów, które i tak zdaje się nie wpłynęły na przebieg kampanii. Czy na to, żeby oszukać ks. Aursperga, nie trzeba przypadkiem było być sprytnym gaskończykiem Muratem, a na to znów, by oszukać Murata — wyjątkowo przebiegłym Kutuzowem? Ktoś też jednak musiał wskazać przynajmniej ogólne kierunki odwrotu i nakazać opór pod Hollabrunn. I znów ktoś przecie wyznaczył stanowisko kapitanowi Tuszynowi. Że ten nie znał przebiegu bitwy i swojej roli? A po co? Wystarczyło, że utrzymał swoją kompanię artylerii na stanowisku wśród morderczego ognia aż do odwołania.

Słowem, biorąc na chłopski rozum, armia rosyjska zawdzięcza swoje ocalenie: najpierw mądrości Kutuzowa, potem zdolnościom Bagrationa, wreszcie bohaterstwu swoich żołnierzy i oficerów w rodzaju kapitana Tuszyna. Na taką rolę jednostki w dziejach zgodzi się chyba każdy wyznawca materializmu historycznego. W każdym bądź razie mocno pachnący mistyką fatalizm jest tu zbyteczny.

Ale książę Andrzej miał się właśnie niedługo przekonać ostatecznie o czymś wręcz przeciwnym. Stało się to w bitwie pod Sławkowem, znanej ogólnie jako „bitwa trzech cesarzy pod Austerlitz".

Połączone wojska rosyjsko-austriackie, ufne w swoją przewagę, przeszły do kontrofensywy. Napoleon przejawiał wahanie. Zajął też bardzo niebezpieczne stanowisko. Postanowiono więc otoczyć go i znieść ostatecznie. Ale oto w decydującej chwili manewru okrążającego przed samym centrum frontu rosyjskiego ukazała się kolumna Francuzów. Jakiś głos krzyknął: „No, bracia koniec!" W jednej chwili wszystko rzuciło się do ucieczki. Teraz przed księciem Andrzejem zajaśniała wymarzona sposobność. Chwycił padający sztandar najbliższego batalionu i runął z nim sam na wroga. Po cóż to zrobił? W świetle jego teorii czyn taki był przecież co najmniej niekonsekwentny. Ale nie, bo oto stał się cud. Cały batalion z krzykiem „hurra"! runął naprzód (za zupełnie nieznanym oficerem!) i wyminął go. Co dalej? To co stać się musiało. Bohaterski oddział wykłuto. Ciżba uciekających porwała z sobą rannego Kutuzowa, a na pobojowisku pozostał ugodzony kulą samotny książę Andrzej ze sztandarem w dłoniach. Wtedy to przekonał się ostatecznie, że „nie było nad nim nic prócz nieba", poza którym wszystko „jest marnością i fałszem". Nawet sam uwielbiany dotychczas Napoleon, który zatrzymał się nad nim i nie skąpił mu słów najwyższego uznania „z wyrazem chełpliwości i upojenia zwycięstwem, był tak mały wobec wysokiego, sprawiedliwego i dobrego nieba, które książę Andrzej zobaczył i zrozumiał, że nie mógł odpowiedzieć"...

Wyleczony, wystąpił z armii i porzucił myśl o karierze wojskowej, właśnie wtedy, gdy krąg wrogów coraz bardziej zagrażał jego ojczyźnie, pomimo że Kutuzow głośno uznawał go za swego najlepszego oficera i że taką samą o nim opinię wyrażał Napoleon.

Wrócił jeszcze do służby w 1812 roku, ale odmówił Kutuzowowi pozostania przy jego boku i „przepadł na wieki w świecie dworaków nie wyraziwszy życzenia, aby pozostać przy boku monarchy, lecz prosząc o pozwolenie służenia w armii". Wreszcie umarł z rany od zabłąkanego granatu, nie dokonawszy już żadnego czynu godnego uwagi. „Myśli, które od dawna i często przychodziły mu do głowy podczas jego wojskowej działalności, mówiły, że nie ma i nie może być żadnej nauki wojennej, a więc nie może istnieć tzw. geniusz wojenny... Może się zdarzyć, że nie będzie na przodzie tchórza, który krzyknie: Jesteśmy odcięci! — i zacznie uciekać, lecz znajdzie się właśnie człowiek radosny i śmiały, który krzyknie: — Hurra! — i wówczas oddział pięciotysięczny może dorównać wartością trzydziestu tysiącom, jak pod Schöngraben; a niekiedy pięćdziesiąt tysięcy zacznie uciekać przed ośmioma, jak pod Austerlitz". Wszystkie więc te „myśli" — jak widzimy — oparte były na konkretnych liczbach.

Brückner nazwał opis konania księcia Andrzeja może najpiękniejszym w literaturze. Mimo to szkoda, że umarł tak wcześnie i nie przekonał się, że znane mu cyfry nie zgadzały się całkowicie z cyframi rzeczywistymi.

Pod Schöngraben oddział Bagrationa stanowił boczne ubezpieczenie, miał więc za zadanie powstrzymanie na pewien czas pościgu Francuzów. W takich razach wystarcza, że się zmusi nieprzyjaciela (zawsze oczywiście silniejszego) do zatrzymania się i rozwinięcia do boju przez nagłe uderzenie na zbyt lekkomyślnie wysunięte czy manewrujące oddziałki. Zadanie to wykonał Bagration wyjątkowo dzielnie, chociaż nie brak zarzutów, że przez swą zbytnią brawurę naraził swój korpusik na niepotrzebne straty. Był to więc zwyczajny czyn bojowy wykonany według prawideł nauki wojskowej. Roli nadprzyrodzonego fatum trudno się tu dopatrzyć.

Co do Austerlitz, to jest to bitwa uznana powszechnie za najwspanialszą w dziejach. Według słów Napoleona, została ona obmyślona i przygotowana w najdrobniejszych szczegółach — „jak prawdziwa pułapka". Wyznaczono dla niej z góry pole. Przewidziano ruchy nieprzyjaciół celowo wprowadzonych w błąd. Mimo to Napoleon przyznaje się, że po raz pierwszy odczuł wtedy wahanie i dopuścił możliwość przegranej. Zwłaszcza obawiał się wybuchu paniki, gdyż według jego planów sprzymierzeńcy mieli go — otoczyć. I tu zdobywa się na niesłychany pomysł: odkrywa cały swój plan w rozkazie dziennym całej swej armii: „Stanowiska nasze są potężne, a Rosjanie obchodząc nasze prawe skrzydło wystawią swoją flankę na mój cios". A ciosu tego miało dokonać 65 tysięcy najlepszych wojsk (a więc nie osiem), które miały działać „jak batalion w rękach dobrego majora". „Batalionik" ów uderzył w oznaczonej chwili w centrum rosyjskie. Bronił go korpus 10-tysięczny pod dowództwem w. ks. Konstantego, na którego imię drżały potem szeregi na Placu Saskim, ale poza tym żadne inne i nigdzie. Obliczenie więc wypadłoby tak: 10 tysięcy przeciw 65 tysiącom plus zaskoczenie i wielki książę Konstanty przeciwko „małemu kapralowi", awansowanemu przez siebie na „dobrego majora". Jakiego można było spodziewać się wyniku? I czy konieczne jest tu powoływać się na jakieś tajemnicze fatum?

Oczywiście, rozważania te nie mogą być chyba poczytane jako próba złośliwej krytyki „Wojny i pokoju". Świadczą one raczej — przez swą dokładność — o moim uwielbieniu dla tego arcydzieła. Zresztą stanowią one tylko fragment większej pracy o Tołstoju, który — jak to jest powszechnie znane — po wydaniu tej powieści zmienił dość radykalnie swe poglądy. Poza tym od czasów szewca apellesowego robiono tego rodzaju zarzuty wielu wybitnym twórcom (np. Sienkiewiczowi). Nie przyniosło to jednak nigdy uszczerbku ich sławie.

Poeta smutny

FRANCISZEK HALAS

przełożył ANDRZEJ PIOTROWSKI

Los

Jeżeli dłonie twoje nie śpią
i są otwarte na mój uścisk
jak za umarłych dzisiaj wznieś je
przy których anioł cicho usnął

I tylko gwiazd układy inne
w czarnym przepychu wysokości
kazały nam inaczej kwitnąć
i wzrastać w chłodny cień wieczności

Proś za nas połączywszy ręce
by noc dziecinna była dla nas
gdy każdy z nas samotnie tęskni
a miłość płacze nie rozdana

Cmentarz

Z góry ci róże pachnąć będą
gdy zaczniesz żyć już zgonem
i gdy odrzucisz miłość w ciemność
swoją osłonę

Ja u stóp grobu w bluszcz wykwitnę
i czuły śpiew ci będę nucić
pergamin z twoim wąskim pismem
który czasowi ujdzie

I znów będziemy razem spali
wiatr na syryndze traw zapłacze
szum Lety nas dobiegnie z dali
i pieśń moczących całun praczek

Kształty

Janowi Zahradniczkowi

Pod ziemią dziwne dzieje wstają
w powietrzu niesłychane także
zaczarowane kształty nagle
budzą się ożywienia pragnąc

Zza lustra cieni którym świat jest
dobiega ich bolesne łkanie
wyzwalających zdań szukajcie
wy którym dano cierpieć za nic

Oczekiwanie

Nie oczekuję nikogo
chociaż wciąż patrzę na drzwi

Jeżeli staniecie za nimi
błagam nie wchodźcie
nawet wstrzymując oddech

Nie oczekuję nikogo
Ja czekam jedynie na siebie

Pieśń

Idę do ciebie z pieśnią pustą
bo słowa smutek zatarł
melodię powtarzają usta

Schylona usłysz chorał pieśni
na kruchym krzewie ciszy
kiedy ku tobie biegnie

Nie rań jej troską ukryj w ręce
maleńką pierś i ucisz serce
i nie zbudź się już więcej

Rys. Krystyna Maślanka

Wiem

O miękkie cienie twego ciała
te które odkrywałem długo
i gorycz czasu we mnie drżała
bym twego piękna nie zagubił

Nie zagubiłem przemilczałem
gdy trzeba było głośno wielbić
zwarły się usta nie umiałem
słowami nawet dotknąć ciebie

Wiem padnę kiedyś twarzą w górę
zachłysnę się błękitem bliskim
Radość Jedyny śpiewak z chóru
chwalących życie a chciał iść stąd

Biednemu

Czas przystrojony w łachman pychy
gra na organkach oszustw podłych
w tej maskaradzie wściekłej cichy
gdzieś tyle piękna sobie zdobył

Z chochołem buntu bez okrzyków
i z czarnym czartem w twardych oczach
jakie pragnienie rośnie dziko
w gąszcz wiary w którym nam pozostać

Słowem nieważnym dla twej klęski
o cudotwórco dni już bliskich
tak wywiedź z błyskawicy ręki
a nasze dni rzuć na śmietnisko

Deszcz dzieci

Franciszkowi Hrubinowi

Deszcz nie jest dla nas lecz dla dzieci
gdy usypiają po zabawach
ale potrafią dojrzeć we śnie
gdzie jego nóżki uciekają

Deszcz nie jest dla nas lecz dla dzieci
okrągłość czółek zachwyt tai
gdy krople w złotej jamce kreciej
srebrne trzewiczki obuwają

NIE znałem Franciszka Halasa. Kiedy w październiku 1949 roku zamykał za sobą drzwi powrotu do słońca, zwyczajnego słońca życia, obchodziłem jako licealista drugą rocznicę powrotu do Polski. Poezja czeska była czymś bardzo dalekim, miałem natomiast poważne kłopoty z matematyką i fizyką. Wieczorami — po odrobieniu pańszczyzny lekcyjnej — deklamowałem ciszy wiersze Rimbauda i niekiedy rymowałem nieśmiało pierwsze własne zwrotki, naturalnie klasyczne sonety, surowo przestrzegając nienagannej powtarzalności czterech rymów: dwa w kwatrynach, dwa w tercynach.

Przyjaźń z Halasem, z jego cieniutkimi, pięknymi tomikami zaczęła się kilka lat później... Po Wolkerze, który zachwycił mnie już na pierwszym roku studiów, po Brezinie, którego biblijne wersety odczytywałem z lękiem, po Nezvalu i Bieblu, którzy czarowali błyskotliwością formy i nieoczekiwanością skojarzeń, już prawie absolwent slawistyki, spłacający sympatię dla zmarłego młodo autora „Gościa w dom" pracą dyplomową o nim, ze zdumieniem odkryłem trudną, niepokojącą poezję Franciszka Halasa, którą dotychczas pomijałem, pochłaniając dziesiątki tomów obowiązujących lektur.

To jednak bardzo ciekawe — znać poetę, wiedzieć, gdzie i kiedy się urodził, czym się zajmuje poza twórczością literacką, z kim się przyjaźni — a przede wszystkim: jak wygląda?

Nie wystarczyła mi charakterystyka, jąką odczytałem z bardzo miłego zresztą wiersza K. I. Gałczyńskiego: „U Halasa"; tam tylko poznałem panią Bunkę, „Halasową żonę", której „słońce chodzi po twarzy".

Na wiele pytań odpowiedziały mi książki i gazety: urodzony w 1901 roku, trzeciego października, w Brnie, środowisko robotnicze, zawód: redaktor wydawniczy, zbiorki: „Sepie", „Kohout plaszi smrt", „Tvarz", „Horzec", „Stare żeny", „Dokorzan", „Torso nadieje", „V rzadie"...

Twarzy Halasa uczyłem się na pamięć jak jego poezji.

Grzywa siwych, z lekka falujących włosów, wysokie czoło, oczy patrzące z głęboką mądrością, prosty nos, wąskie usta, mały obrzęk twarzy znamionujący chorobę serca.

Z trudem jednak budowałem w sobie konsekwentny — to znaczy pełny, bez niedomówień — profil twórczy autora „Na oścież". Usiłowałem zrozumieć prawidłowość drogi poety od burzliwych utworów rewolucyjnych do spokojnej zadumy nad rzeczami ostatecznymi, od kręgu S. K. Neumanna, którego „wykreślił z pamięci", do przyjaźni z Janem Zahradniczkiem i twórcami katolickimi skupionymi wokół dyrektora „Melantricha", B. Fuczika, i wreszcie do czułej zażyłości z Mickiewiczem i Słowackim, których dzieła tak wspaniale przełożył.

* * *

Nie wiem, w jakim stopniu wyczytałem odpowiedź z niewielkich tomików Halasa, a ile zawdzięczam rozważaniom porównawczym i przemyśleniom o przemianach postaw, konfliktach i dochodzeniach pisarzy czeskiego dwudziestolecia. W każdym razie wydaje mi się, że logikę drogi Halasa uzasadnia pełne pasji poszukiwanie miejsca najbliżej człowieka, bez względu na to, czy nazwiemy go towarzyszem, czy bliźnim, poszukiwanie kamienia filozoficznego, który słowo poetyckie zamieniłby w szlachetny kruszec miłości.

Dlatego drążył w głąb najistotniejszych spraw, które — bez obawy posądzenia o aneksję — nazwalibyśmy problemami na wskroś chrześcijańskimi.

Chrystianizm fascynował Franciszka Halasa. Nie szło tu — rzecz jasna — o fascynację zewnętrznością kultu: przepychem świątyń, bogactwem barw szat liturgicznych, śpiewnym misterium obrządków i dymem kadzideł z trybularzy. Pochylenie się nad ludzkim losem, celem życia, wreszcie rzeczami ostatecznymi — śmiercią, zbawieniem, potępieniem. Oto gdzie sedno sprawy.

W zwięzłym stwierdzeniu — na ziemi dorastam do pełni siebie — zawarł Halas przekonanie o konieczności doskonalenia siebie, o obowiązku twórczego przekształcania świata. Dlatego nie obce były mu konflikty ziemskie, dlatego protestował przeciwko zbrodniom w Hiszpanii — a później przeciwko brunatnemu terrorowi w Drugiej Republice.

Nie było w jego utworach deklamatorstwa. Cóż warte są deklaracje solidarności czy rozważania o „poecie — odkrywcy rzeczy znanych" wobec nieludzkości czasu, czasu nie tylko w znaczeniu przemijania?

Z klimatu zaprzeczenia wynikały konflikty, które warunkowały rozwój halasowskiej poezji, które podnosiły jej rangę intelektualną.

Konflikty: jeżeli negacja — to konsekwentna. Negować wszystko w imię czego?

Tragizm pytań, na które nie umiał odpowiedzieć, Nie widział celu — nie wierzył w przyszłą przemianę: tę zapowiedzianą w Wielkiej Księdze i tę ziemską, ludzką.

Są tylko palce Świętego Tomasza i one nie wierzą. Nikt nas nie zbawi, nawet modlitwą.

I w tym punkcie droga Halasa rozchodziła się z drogą twórców konsekwentnie katolickich. To skazało go na bierność oczekiwania, którego błędność zrozumiał później, przeciwstawiając w utworze „Ktorzy polegli" bierności małych ludzi żyjących niegodnym oczekiwaniem — śmierć bojowników.

Tymczasem wyznawał:

Nie oczekuję nikogo
a jednak wciąż patrzę na drzwi
Jeżeli staniecie przed nimi
błagam nie wchodźcie
nawet wstrzymując oddech
Nie oczekuję nikogo
Ja czekam jedynie na siebie

(„Oczekiwanie")

Oczekiwanie na siebie, na chwilę, której świadkiem nie będzie nikt z ludzi. Samotność — kapelusza w szatni. Samotność nie tylko w chwili urodzin i śmierci, ale przez całe życie. O tym pisał Zahradniczek, o samotności. Twórca potrzebuje czterech nagich ścian. Jak zwierzę, które liże się z ran i umiera w mateczniku (to Pietrzak).

I jeszcze: oczekiwanie na litość słów pragnących wykupienia. Zgrzebna architektonika strof, rzeźbienie wersetów, zwięzłych, zaskakujących aforystyką. Rzucane z dna rozpaczy promienie pogardzanego piękna. Piękna, które stanie się poręczycielem na życie twórcy bez względu na obieg czasu. To, co wyraził w czterowierszu:

Ja u stóp grobu w bluszcz
wykwitnę
i czuły śpiew ci będę nucić
pergamin z twoim wąskim
pismem
który czasowi ujdzie

(„Cmentarz")

Było pokolenie poetów smutnych, jak byli poeci przeklęci. Rimbaud z okresu Komuny Paryskiej, Halas z epoki imperializmu. Autor „Sezonu w piekle" został handlarzem broni, twórca „Starych kobiet" wznosił okrzyk wyzywający czas, aby pogrzebał pokolenie smutnych, do którego należał.

Szedł przez siedem kręgów cierpienia.

Przez siedem kręgów cierpienia
idzie człowiek
ku doskonałości

(„Bojownik")

Dzisiaj mu róże pachną z góry
Może zaprzyjaźnił się z aniołami, tak jak pragnął tego pisząc urocze wiersze dla dzieci?

*

Odkładam „Tvarz", tom poety Franciszka Halasa, który kocham surową męską tkliwością, i myślę o zapowiadanym w pożółkłych już dziś rocznikach czasopism zbiorku prozy poetyckiej. Miał ukazać się w grudniu 1949 roku.

Andrzej Piotrowski

O socjalistycznym dniu powszednim...

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

MAM zamiar pisać o sprawach dnia powszedniego. Uprzedzam o tym z góry naszych czytelników. Z istoty bowiem tego tematu powinienem zająć się sprawami błahymi, no, po prostu — powszednimi. Uprzedzam czytelników, gdyż wiem z doświadczenia, że dzielą się oni na dwa przeciwstawne obozy: na tych, którzy od publicystyki oczekują roztrząsania wielkich, zasadniczych problemów, oraz na tych, których interesują tylko sprawy konkretne i bardzo bliskie codziennym troskom. Pierwsi z pogardą odnoszą się do zbyt „małostkowej" problematyki praktycznej. Drudzy z niemniejszym obrzydzeniem odnoszą się do „izmów", jakimi naszpikowana jest nieraz zbyt mało zrozumiała publicystyka teoretyczna.

Chcę więc tym razem pisać właśnie o tej „małostkowej" problematyce. Cały ten wstęp ma jednak przede wszystkim za zadanie usprawiedliwić mnie, że niestety, zmuszony jestem zacząć właśnie od zagadnień dość teoretycznych i ogólnych. Tyle tylko, że postaram się unikać wszelkich zbędnych „izmów".

* * *

PODSTAWOWYM zarzutem, wysuwanym przez przeciwników socjalizmu, jest twierdzenie, że socjalizm jest w swych założeniach nieludzki: żąda bowiem od naszego pokolenia, by się totalnie poświęciło dla budowania, być może nawet i lepszego bytu, ale przyszłych dopiero pokoleń. Nam natomiast, ludziom epoki budowania podstaw socjalizmu, pozostają tylko wyrzeczenia, praca ponad siły, życie, pozbawione wszelkich blasków i uroków.

Taka jest argumentacja tej części przeciwników socjalizmu, którzy się bynajmniej nie chcą uważać za popleczników reakcji. W zasadzie uznają oni cele socjalistyczne za szlachetne, za godne szacunku, zarzucają tylko kierownictwu obozu socjalistycznego zbyt romantyczną, zbyt „prometejską" postawę, zbyt wygórowane wymagania wobec możliwości „szarego człowieka". Taki socjalizm, twierdzą ci krytycy, może być tylko dziełem świadomych, prawdziwych bohaterów — a przecież normalne społeczeństwo nie może się składać z samych bohaterów.

Więc właśnie o to chodzi: czy nasz dzień powszedni, czy nasze zwykłe, codzienne życie odpowiada wymogom i potrzebom zwykłego człowieka naszych czasów, czy rzeczywiście przygniata go ogromem nałożonej na jego barki odpowiedzialności historycznej.

Pytanie jest ważkie i bynajmniej nie może być rozpatrzone tylko teoretycznie. Z jednej bowiem strony obowiązuje nas na pewno zasada, iż nawet najszlachetniejsze i największe cele nie mogą być realizowane za cenę zmiażdżenia pod ich ciężarem całego pokolenia, a może nawet i paru. Z drugiej jednak strony nasz światopogląd stoi w jaskrawej sprzeczności z postawą jednostkowego egoizmu, z hedonistycznym wezwaniem „korzystaj z każdego dnia" i każe żyć czynną miłością bliźniego, której nakazy w żadnej mierze nie dadzą się sprowadzić do spontanicznych gestów dobroczynności na widok ociemniałego dziadka.

Oto ramy naszego problemu.

Sądzę jednak, że nie warto tu zajmować się szerzej samą odpowiedzią na wysunięty zasadniczy zarzut. Minione dziesięciolecie nie przypomina ponurego obrazu zmiażdżonego pokolenia pod ciężarem zadań ponad siły ludzkie. Zdrowy rozum dostrzega również, że, jeśli nieraz napracowaliśmy się ciężko, to właściwie głównie dla nas samych. Dla tych domów, co się wznoszą wokół nas, dla szkół, dla książek, co wychodzą, dla naszych dzieci, co się uczą, no i dla tych wszystkich, co wokół nas pracują; co pracują dla siebie i dla nas, tak jak my pracujemy dla nich i dla siebie.

Nie, nie o to mi chodzi, by ze statystyką w ręku dowodzić, czego dokonaliśmy w ciągu dziesięciolecia i kto z tego dorobku dziś korzysta, kto będzie korzystać za następnych lat pięć...

Chodzi mi o dwie rzeczy: o to przede wszystkim, skąd powstały tego rodzaju argumenty antysocjalistyczne, oraz o to, co w praktyce naszego życia może stanowić te hamulce, które rzeczywiście utrudniają w wielu wypadkach udział w twórczej pracy nad budowaniem przyszłości, tej najbardziej własnej.

* * *

ZACZNIJMY więc najpierw od stwierdzenia, że idee socjalistyczne rzeczywiście wymagają od każdego z nas dużego wysiłku dla przestawienia się z myślenia kategoriami wyłącznie indywidualnymi na kategorie myślenia społecznego.

W świecie kapitalistycznym obowiązuje zasada troski o tylko własny byt. Zasada totalnie egoistyczna. Cała filozofia została stworzona, by udowodnić, iż suma tych indywidualnych egoizmów jest podstawą szczęścia i harmonijnego współżycia narodów i ludzkości. Filozofia bardzo niechrześcijańska, ale dla wielu bardzo przekonywająca.

Człowiek więc wychowuje się, jeśli rodzi się bogaty, na założeniu, że dobrobyt mu się należy i że ma go chronić przed zakusami innych. Jeśli nie mam majątku — zasadą życiową jest, że muszę umieć się wzbogacić, gdyż pieniądze dadzą wszystko, czego będzie do szczęścia potrzeba.

Nie wszyscy są bogaci i nie wszyscy się wzbogacą w świecie kapitalistycznym. Ale przed każdym taka możliwość teoretycznie stoi i każdy może zobaczyć, za odpowiednią sumę nawet, osobiście doświadczyć wszelkich rozkoszy oddanych do dyspozycji bogatych.

Reszta zależy już tylko od szczęścia i osobistych zdolności. Teoretycznie!

Socjalizm zrywa z tym ponętnym schematem filozofii życiowej. Przyszłość każdego z nas zależy już nie tylko od jego osobistych możliwości życiowych, ale także i od stanu rozwoju i bogactwa całego społeczeństwa, w którym żyje.

Wykształcenie i kariera dziecka zależy, w świecie kapitalistycznym, od możliwości pieniężnych rodziców przede wszystkim. U nas, osobiste środki materialne ułatwiają bardzo wychowanie, ale wykształcenie dziecka uzależnione jest przede wszystkim od dorobku całego społeczeństwa na odcinku szkolnictwa. Im więcej będzie szkół, im będą lepiej zaopatrzone, im personel pedagogiczny będzie bardziej wykwalifikowany, tym większe otworzą się możliwości przed wszystkimi dziećmi, i naszymi oczywiście też.

Na Zachodzie mieszkanie uzależnione jest wyłącznie od ilości pieniędzy, jaką dysponuje rodzina, by w nie zainwestować. U nas, choć dobre mieszkanie też kosztuje, zależy to przede wszystkim od funkcji ogólnej sytuacji mieszkaniowej i wysiłku budowlanego. Stąd u nas stały ale powolny wzrost warunków mieszkalnych, ale ograniczenia kwaterunkowe i brak luksusu, na Zachodzie zaś wybór od najbardziej komfortowych will, aż do suteren, do nędzy bezdomnych i tragedii tysięcy młodych małżeństw bez żadnych możliwości mieszkaniowych. Oczywiście, w zależności od ogólnej stopy życiowej kraju kontrasty te przedstawiają się bardzo różnie. Chodzi tu przede wszystkim o zasadę.

Jeśli więc w świecie kapitalistycznym sytuacja każdego uzasadnia się po prostu stanem jego majątku, to u nas każdy obowiązany jest codziennie ocenić swą sytuację osobistą i swe możliwości w oparciu o dane całego społeczeństwa, w którym żyje.

Wielu ludzi w świecie kapitalistycznym, a zwłaszcza klasa robotnicza, pojęło szybko, jak złudne są te indywidualistyczne zasady myślenia. Indywidualny los biedniejszego jest przesądzony, z góry siłą materialną bogatszego. U nas, myślenie kategoriami społecznymi stanowi do dziś dnia zasadniczą trudność dla bardzo wielu ludzi, nawet bardzo odległych od ideologii burżuazyjnej. Wydaje mi się, że zbyt często spotykali się oni z ogólnikowymi, podniośle brzmiącymi apelami i deklaracjami, a ciągle jeszcze za mało konkretnego trudu publicystyki, by przedstawić każdemu, w sposób przystępny, te dane polityczne, gospodarcze czy kulturalne, które o jego przyszłości decydują.

Przyznaję jednak, że i dla publicystyki to trudne zadanie i że dziennikarz zwłaszcza szuka nie raz po omacku w gęstwinie niezmiernie trudnych, powiązanych ze sobą problemów, odpowiedzi, które mu powinni podawać specjaliści w sposób prosty i odważny.

* * *

TAK, na pewno olbrzymia jest rola prasy i publicystów w ułatwianiu przeciętnemu obywatelowi rozumienia treści życia w społeczeństwie budującym socjalizm, w codziennym rozumieniu powiązań między jego osobistym życiem a życiem całego społeczeństwa.

Ale istnieją również inne jeszcze trudności.

Historia naszego narodu nie przyczyniła się do wyrobienia w nas zmysłu społecznego, zmysłu do spraw publicznych. Przez blisko półtora wieku pozbawieni byliśmy życia państwowego, a pokolenia rosły w atmosferze najgłębszej nieufności wobec wszelkich poczynań rozbiorczych władz państwowych.

Międzywojenne dwudziestolecie daje w swym ogólnym bilansie obraz kompletnej nieudolności władzy państwowej. Na tle zacofanej struktury państwowej i ekonomicznej rozwijało się też tylko słabiutkie, anemiczne życie polityczne, kulturalne, nie rozwijała się właściwie świadomość społeczna narodu.

Lata wojny wniosły tu dodatkowy chaos. To prawda, że ogół narodu wykazał w tych latach najwyższe poczucie ofiarności, patriotyzmu. Jednocześnie jednak z powrotem daliśmy wówczas pełny upust naszym zadawnionym tradycjom anarchicznym, zamiłowaniu do zrywów, improwizacji, omijania, sabotowania wszelkiego ustalonego porządku. Obok pokolenia ofiarnych bojowników rosło również i pokolenie szmuglerów, kombinatorów, dorobkiewiczów.

Mimo całej grozy i ohydy wojny, do dziś dnia istnieje w pewnych kołach nie wypowiadana tęsknota za „złotymi czasami" łatwych interesów i łatwych pieniędzy, zarabianych po prostu na ulicach i tak beztrosko wydawanych przez jednych, gdy inni ginęli pod ścianami tych samych ulic.

Z tym całym bagażem pojęć i nawyków trudno było niejednemu wejść w życie socjalistyczne.

I nie myślę tu bynajmniej o specyficznej warstwie spekulantów. Jest w Polsce bardzo wielu ludzi, najuczciwszych i najdalszych od wszelkiej „smykałki do interesów", którzy jednak wynieśli w swej psychice, w swym wykształceniu zalążki tamtego sposobu myślenia.

Daje się to przede wszystkim zauważyć, gdy się bierze udział w niektórych dyskusjach na temat dzisiejszych i dawnych czasów. Widzi się wówczas jak wiele w ludziach tkwi bezkrytycyzmu w stosunku do przeszłości i jak trudno im jest uchwycić mechanizm nowych przemian. Ci sami ludzie, którzy z szacunkiem, nieraz z nieukrywaną dumą mówią o osiągnięciach dziesięciolecia — nie potrafią uchwycić związku istniejącego między tymi osiągnięciami a ich życiem własnym. Ci sami, którzy z dużą goryczą mówią o zmarnowanej Polsce przedwrześniowej, gdy przechodzą do wspomnień osobistych, zapominają o własnych biedach i krzywdach, by wspominać tylko blichtr i efekciarstwo tamtych dni,

* * *

PROPONUJĘ więc dokonanie wspólnie pewnej próby praktycznej oceny naszego stosunku do otaczającej nas rzeczywistości i przeegzaminowania przy tej okazji naszych reakcji, naszych argumentów.

Można by zacząć nasze rozumowanie w ten sposób:

— Czy podoba się wam fakt wybudowania kombinatu w Nowej Hucie? a rozwój własnego budownictwa okrętowego? elektryfikacja wsi? powszechna oświata? Tak — no to więc...

Ale to nie wydaje mi się być właściwą drogą. Raz dlatego, że już niejeden publicysta jej próbował, a po wtóre dlatego, że nie tu kryją się ewentualne trudności wczucia się w styl życia, nowy styl życia naszego kraju.

Zacznijmy, proponuję, od innej strony, mianowicie od pytania: co nam najbardziej utrudnia, co nam najbardziej przeszkadza w naszym codziennym życiu. Gdzie są te, jakby powiedzieć, mielizny, na których od czasu do czasu utyka nasz słuszny i niewątpliwy zapał w tworzeniu rzeczy wielkich i trwałych, z których wspólnie jesteśmy dumni.

I tu powracam do argumentu, wysuniętego na samym wstępie tego artykułu. Czy zadanie budowania socjalizmu wydaje się nam ponad nasze siły, kosztem naszych zbyt wielkich wyrzeczeń? Czy też może co innego jest prawdą, mianowicie, że w naszym codziennym życiu spotykamy się jeszcze z dużą ilością, może drobnych, ale dotkliwych, nie rozwiązanych problemów, które hamują nasze wysiłki, męczą, zniechęcają czasem?

Oczywiście, znów wszyscy wiemy, że nie od razu Kraków zbudowano, a Warszawę tym bardziej — prosty rozsądek każe nie domagać się wszystkiego na raz. Stać nas chyba na to, aby wymagania stawiać z umiarem i przyjmując zasadę, że społeczeństwo wpierw musi zbudować nowoczesne podstawy swej gospodarki, a potem dopiero zaspokoić wszystkie potrzeby, wytykać to, co leży w granicach naszych aktualnych możliwości.

Otóż wydaje mi się, i to właśnie chciałbym rozwinąć w następnych rozważaniach, że istnieje pewien niebezpieczny niedowład pomiędzy rozmiarami zaplanowanego i wykonywanego przez społeczeństwo wysiłku twórczego a brakiem zaplanowania i brakiem rozwiązań w zakresie niektórych drobnych i ważnych jednocześnie spraw naszego codziennego życia.

Mam na myśli takie zagadnienia, jak: małżeństwo, rodzina i dom jako płaszczyzna spotkania człowieka współczesnego z problematyką socjalistyczną; wzajemne (jakże codzienne!) stosunki człowieka pracującego z aparatem handlu uspołecznionego; co jest, a co powinno być udostępnione każdemu w dziedzinie kulturalnej rozrywki oraz wiele tym podobnych powszednich problemów.

Nie mogę się powstrzymać w chwili pisania tych słów od uczucia lęku wobec śmiałości mojego pomysłu. Publicyści najchętniej piszą na te tematy, jakich nie znają ich czytelnicy. Wówczas i o autorytet nie trudno, no i, przy odrobinie fantazji, o tematy. Pisać zaś o sprawach codziennych to narażać się na to, że każde słowo jest do skontrolowania, do skrytykowania, więc i o potknięcie łatwo.

Nikt podobno nie jest prorokiem we własnym kraju, więc tym bardziej autorytetem w takiej problematyce. Pocieszam się jednak myślą, iż zamiarem moim nie jest tu posługiwanie się jakimkolwiek autorytetem, lecz wyłącznie obserwacją, codziennym doświadczeniem i wielu rozmowami, jakie się w całej Polsce wokół podobnych tematów toczy.

A zresztą nie będę miał nic przeciwko temu, by mnie ktoś następnie poprawił czy uzupełnił własnymi przemyśleniami.

JANUSZ STEFANOWICZ

REFLEKSJE PO 2 STYCZNIA

CZYTACIE ten komentarz — jeśli w ogóle zwykliście go czytać — w dziesięć dni po pierwszych komunikatach o wyborach we Francji. Znacie z radia i gazet liczby głosów i mandatów, procenty strat i zysków, wysokość frekwencji — jednym słowem cały tak zwany materiał faktyczny. I gdyby wybory odpowiadały na jedno tylko pytanie — jaka partia dostanie ile miejsc — komentarz ten byłby prawdziwą musztardą po obiedzie. Na szczęście jednak mówią one więcej: czego chce i czego szuka naród francuski. Tu podstępne pytanie: czy wybory to dobre zwierciadło? Nie, niedobre, gorsze chyba niż lustro wybrakowanej produkcji, spotykane czasem w szafach CHPD. Tendencyjne ordynacje, dezorientująca propaganda, fałszowanie wyników przez komisje — wszystko to daje obraz bardzo skrzywiony. Zbyt skrzywiony, aby mógł stanowić podstawę traktatu „o stanie narodu", na tyle jednak czytelny, że pobudza do pewnych refleksji. I z tej szansy skorzystamy.

Na drugi dzień po głosowaniu spiker BBC zreasumował krótko wyniki: wszystkie partie występujące w roku 1951 *poza partią komunistyczną* zmniejszyły obecnie swój stan posiadania. Mówiąc inaczej, żadna partia burżuazyjna — bez względu na to, czy należała do bloku Faure'a, czy Mendes-France'a — nie odniosła sukcesu w wyborach. Nie odniosła też korzyści żadna z tych dwu koalicji, brana jako całość. Patrząc z formalnego punktu widzenia — sprawa dziwna. Przecież na placu stanęło aż osiemnaście ugrupowań, z których wiele sformowało się specjalnie na okres wyborów: osiemnaście dań, ułożonych w dwa różne, a nawet — jak przekonywano podczas kampanii — przeciwstawne sobie menu. Jakaż to powinna być radość dla francuskiego wyborcy, oznaczonego tradycyjnie etykietką indywidualisty i smakosza! Powinna — ale on właśnie z tego bogactwa dań wybierał mniej chętnie, niż przy skromniejszym menu cztery lata temu. Może dlatego, że zajrzał — uzbrojony w przykre doświadczenia poprzednich kadencji — trochę głębiej, do kuchni, i zobaczył, że wszystkie potrawy składają się z tego samego, a różnica kończy się na przyprawach. Oczywiście tak. Ale nie tylko — przypomnijmy sobie, że wszystkie partie burżuazyjne razem wzięte utraciły duży procent mandatów. Zdegustowanie wyborcy ma więc charakter bardziej ogólny. „Wyraźnie i bez reszty francuskie partie centrowe otrzymały odpowiedź na ich wieloletnie bałaganiarskie gospodarowanie" pisze zachodnio - niemiecka „Die Welt" i ma rację. Wyborca francuski po latach niepowodzeń swego kraju w polityce zagranicznej i wewnętrznej, widząc upadek prestiżu Francji na arenie międzynarodowej, bezsens kosztownej w krew i złoto walki o utrzymanie pozycji kolonializmu, nie mając nadziei na uzdrowienie stosunków gospodarczych przy obecnych metodach rządu — dał votum nieufności.

Nieufność można wyrazić obojętnością. Tak postąpili pół roku wcześniej Anglicy. Francuski temperament nie pozwolił jednak na pozostanie w domu drugiego stycznia, mimo że zimno i dzień wolny od pracy. Nieufność do starego oznacza dla Francuza — szukanie nowego. Szukanie wyjścia, szukanie partii zdrowej i zdolnej do wyprowadzenia kraju z impasu. Wielu wyborców, którzy w roku 1951 wierzyli jeszcze w słuszność programów partii burżuazyjnych i w to, że programy te będą wypełniane — znalazło już drogę. Dowodem tego, dowodem bezapelacyjnym są liczby: 151 mandatów Partii Komunistycznej wobec dawnych 98, tj. wzrost o 60%. Krzywa znamiennie stroma.

Nie wszyscy jednak zniechęceni do partii centrum wyborcy wybrali ten kierunek. 49 mandatów uzyskał nowy ruch Poujade, wykazujący wiele cech faszystowskich: baza społeczna drobnego mieszczaństwa, owych „płatników podatków" — sklepikarzy i rzemieślników, brak jakiegokolwiek programu poza wachlarza demagogicznych haseł, zasada walki przeciw wszystkim i dążenie do zwołania jakichś „stanów generalnych" zamiast obecnego parlamentu. 49 mandatów to dużo, więcej niż się spodziewano. Jak to wyjaśnimy? Czy można, jak robią komentatorzy zachodni, utożsamiać zwycięstwo komunistów i poujadystów? Z całą pewnością nie. Różnica jest i prosta, i zasadnicza — zwycięstwo komunistów opiera się na atrakcyjności ich programu dla wyborcy francuskiego, głosy oddane na Poujade były głosami tylko negacji. Zaryzykujmy sformułowanie: wyborcy głosujący na FPK wyrażali niezadowolenie twórcze, świadome konieczności nowej linii politycznej, a klientela wyborcza Poujade — rekrutująca się, rzecz charakterystyczna, z dawnych wyborców faszyzującej grupy gen. de Gaulle — poszła za odruchem prostego zniechęcenia „do wszystkiego, co dzieje się dzisiaj", nie wyciągając wniosków.

Powstaje jednak niepokój, wyrażony przez holenderski „Telegraf": „Również sukcesy Hitlera były wynikiem niezadowolenia. Należy przypomnieć, że ówczesna Europa demokratyczna również nie chciała wierzyć, iż ruch wykorzystujący niezadowolenie i opór przeciw istniejącemu porządkowi politycznemu może przekształcić się w tak poważny czynnik". Czy rzeczywiście ruch Poujade grozi takimi konsekwencjami? Wydaje się, że nie.

Niewątpliwie istnieją analogie z sytuacją republiki Weimarskiej — słabość rządu, niezadowolenie, rozbijacka polityka partii socjalistyczno - politycznych. W roku 1948 równie nagle i jasno wystrzelił we Włoszech ruch neofaszystowski „Uomo Qualunque"; już po kilkunastu miesiącach okazał się słomianym ogniem. To samo chyba czeka ruch księgarza z Normandii.

I co dalej szary człowieku? — pyta wczorajszy wyborca, czytając komunikaty o znanych nam wynikach głosowania. Żadna partia nie ma większości. Jakaż koalicja może mieć większość? Nieubłagana arytmetyka wskazuje na jedyne wyjście — front ludowy; złożony z komunistów, socjalistów i radykałów. FPK natychmiast po wyborach wyraziła gotowość realizacji podobnej koncepcji. Odrzucił ją szybko Mendes-France, bojąc się, że współpraca z komunistami będzie końcem jego kariery politycznej. Odrzucił ją jeszcze gwałtowniej Guy Mollet z SFIO, bo... bo znowu przypomina się Weimar; stara, rozbijacka taktyka socjaldemokracji stała się raison d'être prawicowych partii socjalistycznych: jeżeli nie utrzymamy rozłamu w klasie robotniczej, przestaniemy mieć polityczną rację bytu. Trudno się dziwić stanowisku obu polityków. Nie mieliśmy złudzeń, że — póki można — „świeccy republikanie" odżegnywać się będą od FPK z przestrachem dewotki. Czy jednak w chwili ich negatywnej decyzji klamka zapadła, czy mamy raczej do czynienia z trudno wyrobionym moratorium w tworzeniu frontu ludowego? Bo idea takiego frontu nie znikła z pewnością. Przeciwnie, zyskuje na popularności odpowiednio do tego, jak partie burżuazyjne szamocą się w poszukiwaniu rozwiązań — i rozwiązań takich nie znajdują. A szamotanie jest naprawdę dramatyczne. Spójrzcie: Faure, przerażony zwycięstwem komunistów, wzywa do pojednania z blokiem Mendes-France'a, co zresztą i tak nie dałoby im bezpiecznej większości. Tamten, nie zważając na wyniki wyborów, uważa się nadal za opatrznościowego męża Francji i podejmuje karkołomną decyzję sformowania rządu z socjalistami, karkołomną, bo posiada absolutną mniejszość w nowym Zgromadzeniu. Cóż potrafi uczynić rząd takiej mniejszości? Czy potrafi rozwiązać palącą sprawę Algeru? Czy poweźmie kroki zmierzające do ustabilizowania sytuacji gospodarczej Francji? Czy ma środki zapewnienia jej prestiżu międzynarodowego? Z pewnością nie. Potrafi najwyżej wezwać do uchwalenia nowej ordynacji wyborczej i rozwiązać parlament; stworzyć w ten sposób nowe miesiące chaosu i braku decyzji, jeszcze bardziej podkopać pozycję swego kraju.

Nie życzymy Francji takiego rządu. Nie życzymy jej też żadnego, podobnie zawieszonego w próżni. Nie życzymy jej nowej galerii kilkudniowych premierów i ciągłego braku steru. Ale to, co działo się i dzieje dzisiaj w kotle burżuazyjnych stronnictw, żywo przypomina mit o rycerzach wyrosłych z smoczych zębów, którzy wymordowali się wzajemnie na chwałę Jazona. Tak też dzisiejsza walka przywódców tych partii między sobą przyśpiesza obiektywnie realizację koncepcji Frontu Ludowego, wskazując wyborcy francuskiemu, jak bardzo jedyna jest ta właśnie droga.

Jacques Duclos i Maurice Thorez

JERZY OLKIEWICZ

PODRÓŻ DO KRESU SZTUKI

Celnik – Rousseau: „Park Montsouris"

PRZEŻYWALIŚMY ostatnio zapóźnione prowincjonalne malarskie rewolucje. Podstawową ich cechą była pewna hermetyczność. Wypływały nie tyle z potrzeb zewnętrznych, co z wewnętrznej prowokacji. Były to rewolucje w getcie twórców.

Trzeba przyznać, że jest to getto dość nieprzenikalne, zajęte wielu sprawami, z którymi odbiorca sztuki faktycznie się nie styka. W tym wydaje się leży główna przyczyna częstej społecznej nieprzydatności naszej sztuki, jej anemii i braku sposobów oddziaływania. Zbliżenie odbiorcy do problemów najistotniejszych dla malarza jest naturalnym sposobem zmniejszenia niezrozumiałości współczesnej sztuki. Nowoczesne środki wyrazu budzą u odbiorcy tradycyjną już niechęć i przyczynę nieporozumień. Geneza tych środków może w drobnej chociaż części wyjaśnić ich charakter.

Przemiany w sztuce na przełomie XIX i XX wieku można określić jako próbę odświeżenia poprzez prymityw; przez wartości świeże, surowe, a często nawet barbarzyńskie. Tak jak czterdzieści lat przedtem wielka rewolucja francuskiego malarstwa dużo zawdzięczała sztuce Wschodu, a przede wszystkim japońskim drzeworytom — teraz wpływy sięgają nie tylko wyrafinowanej sztuki azjatyckiej — sięgają głębszych pokładów najbardziej intymnego, obnażonego odczuwania.

Zjawisko to jest powszechne we wszystkich gałęziach sztuki i tłumaczy się nie tyle zblazowaniem współczesnego artysty, co potrzebą reakcji na martwą, zaskorupiałą i akademicką sztukę XIX wieku. Zarówno w muzyce, malarstwie, czy architekturze lata przełomu ubiegłego wieku przynoszą dążenia — czy nawet pęd — w kierunku ignorowanych dotychczas, albo nie branych poważnie gatunków sztuki: egzotycznych • czy peryferyjnych. Odkrycie folkloru, które tak ogromne znaczenie miało dla rozwoju współczesnej muzyki (Strawiński, Bartok) ma źródła w tym samym pragnieniu. Wykształcił się pewien smak na prymityw. Dokonano transfuzji świeżej krwi.

Gaugin, któremu na Markizach objawia się świat jaskrawych barw, niezwykłej przyrody, polinezyjskich bożków. Van Gogh malujący właściwie — w ówczesnym pojęciu — jak dyletant, jak ludowy artysta. Strawiński zafascynowany prymitywnymi wojskowymi marszami na ulicach Madrytu, czy muzyką pianoli w knajpach. Ravel, który w czasie Wystawy Międzynarodowej chciwie słucha wschodniej muzyki i ekscytuje się rosyjskim folklorem. Corbusier urzeczony architekturą włoskich miasteczek, czy Wright zapatrzony w Japończyków — to przykłady tego samego zjawiska.

Dalszy rozwój sztuki jest poszukiwaniem jeszcze bardziej ukrytych ognisk naiwnej czy brutalnej twórczości. Jest to poszukiwanie najintymniejszych źródeł. Jakaś chęć znalezienia ostatecznej formuły artyzmu, jego formy najczystszej, nie skażonej cywilizacją czy nawet świadomością twórczości. Gorączkowe poszukiwania punktu stałego, który w okresie przemian i chaosu, w okresie dewaluacji starych wartości da punkt oparcia.

Osiągnięcie tego punktu krańcowego było praktycznym końcem sztuki. Ruch Dada, automatyzm surrealistów, muzyka konkretna — to już wielki, tragiczny koniec. Poszczególne jednak etapy tej podróży i odskok od punktu krańcowego kierunku, świadomej, konstruktywnej twórczości — to cały szereg wielkich odkryć.

Jest coś wspólnego między ówczesnymi odkryciami naukowymi a tą upartą sekcją, jakiej poddawano sztukę; tym pragnieniem wydarcia ostatecznego sekretu. Einstein, Roentgen, Curie, Freud — cała plejada świetnych naukowców; olbrzymi postęp techniczny: radio, samochód, samolot. „Ziemia obiecana", którą obiecywał Cézanne malarzom, zdawała się równie osiągalna, co olbrzymi postęp w dziedzinie nauki.

Malarzom nie wystarczały już pogodne, dobroduszne bóstwa Polinezji. W poszukiwaniu czystości, świeżości za wszelką cenę wdzierali się do prehistorycznych grot pokrytych rysunkami, do magicznych masek i statuetek Centralnej i Zachodniej Afryki. Te murzyńskie fetysze objawiały zadziwiającą logikę, przedziwny instynkt prymitywnego rzeźbiarza. Istnieje podanie związane z odkryciem afrykańskiej sztuki na Montmartre. Młody Vlaminck natknął się przypadkowo w którymś z paryskich barów na fragment rzeźby z Kongo, przywieziony i pozostawiony przez jakiegoś zapitego marynarza. Kiedy razem z Derainem oglądali rzeźbę, odkrywając logikę jej rzeźbiarskiej konstrukcji, postanowili pokazać ją Picassowi: — „Piękna jak Wenus z Milo". Picasso milczał. Było coś fascynującego w tym kawałku drewna. „Jeszcze piękniejsza" — powiedział.

Odkrycie sztuki murzyńskiej przygotowało powstanie kierunku najbardziej chyba ważnego w historii współczesnej sztuki; przygotowało kubizm. „Rzeźba murzyńska nie była matką kubizmu — pisał gdzieś Ważyk — ale była jego akuszerką".

Kubizm, którego nazwa tak jak nazwa impresjonizmu powstała zresztą wcześniej od samego kierunku — starał się przeniknąć tajemnicę budowy bryły, dać plastyczną analizę przedmiotu. Piękno monumentalnych murzyńskich świątków było dziełem doskonale wyczutych proporcji i zestawień. To była sztuka, która najbardziej niedwuznacznie — łopatą do głowy — wyjawiała malarzowi pierwociny i fundamenty oddziaływania plastyki. Uproszczone, schematyczne głowy były czystym destylatem sztuki; najbardziej jaskrawym wyjawieniem jej istoty.

Max Jacob i Apolinaire, przyjaźniący się z malarzami, nadali kubizmowi metafizyczną nadbudowę zupełnie zresztą pozbawioną znaczenia. Kubizm był w gruncie rzeczy kierunkiem bardzo racjonalnym. Więcej w nim było matematyki niż mistycyzmu, w którym gustował Jacob. „Nie chcieliśmy robić kubizmu — mówił później Picasso — chcieliśmy wyrazić to co w nas było".

Tak jak w młodszym o pięć lat kierunku — fowizmie, w malarstwie kubistów doszły do głosu podstawowe, wyłuszczone z prymitywnej sztuki prawa artystyczne. Fowizm — to zafascynowanie się kolorem, wyciągnięcie ostatecznych wniosków ze sztuki Bliskiego Wschodu, z brutalnej siły Van Gogha; odkrycie rodzimej śródziemnomorskiej tradycji — sztuki bujnej, dynamicznej, gorącej, kolorowej. Kubizm — to odkrycie dyscypliny formalnej, odkrycie konstrukcji.

Kubizm (1910) jest punktem wyjścia całego współczesnego malarstwa. Sztuka murzyńska była katalizatorem; materiałem, który rozwijano, były odkrycia Cézanne'a. Dalszym czynnikiem, który wpłynął na powstanie kubizmu, była sztuka peryferyjna, płótna Celnika — Rousseau — fantastyczne, naiwne, szczere w swojej wrażliwości, ludowe. Ta ludowość odświeżyła sposób patrzenia, była bodźcem do swobody. Malarze rozsmakowali się w wolności nieskrępowanej przymusem niewolniczego odtwarzania świata.

Swoboda prymitywnego artysty, jego świeża reakcja, radość jaką odczuwa tworząc swój naiwny, ale własny świat — była czymś nowym i zadziwiającym. Brat Jacoba przywiózł z Dakaru swój portret malowany przez murzyńskiego artystę, który urzeczony świecącymi guzikami na mundurze modela, pragnąc podkreślić ich piękno i wyjątkowość — wymalował z nich aureolę nad głową portretu. To było zdumiewające odkrycie ludowej poezji. Równym odkryciem były rysunki dzieci — bardzo wrażliwe, piękne w kolorze, szczere i pełne naiwnego uczucia. Pokrewne zjawiska zachodziły zresztą w muzyce. Strawiński, Satie, Grupa Sześciu — zakochana była tak jak malarze w jarmarcznych widowiskach, w cyrku z jego specyficzną, tanią muzyką, w grajkach ulicznych i ich kompozycjach.

Kubizm jest punktem przełomowym. To jest węzeł, który skupia w sobie wszystkie współczesne tendencje i wpływy. Tu rozchodzą się zarazem drogi rozwoju współczesnego malarstwa. Z niego prowadzi też droga do kresu sztuki.

Braque: „Abstrakcja"

Fowizm był orgią. Był wyzwoleniem najbardziej brutalnych instynktów. Olbrzymim rykiem kolorów. Przeczuciem nowej, prawdziwie współczesnej sztuki. Tę nową sztukę zapoczątkował kubizm. Kubiści nie byli szaleńcami. Uznali potrzebę wolności postulowaną przez fowizm, ale była to wolność rozsądna i zdyscyplinowana geometria. Od sztuki peryferyjnej przejęli prawo do fantastyki, ale regulowali to prawo logiką. Zafascynowani rzeźbą murzyńską przeszczepili do współczesnego malarstwa jej siłę. Przejęli odwagę konstruowania nowego świata, równą odwadze współczesnych naukowców.

Rozwój kubizmu dopuszczał dwa możliwe krańce, dwie drogi do kresu sztuki. Jedna, to droga przejmująca wyłącznie racjonalizm i matematykę — to sztuka abstrakcyjna. Druga, to sztuka rozwijająca emocję i fantastykę — późniejszy surrealizm. Picasso, Braque, Leger — twórcy kubizmu nie poszli żadną z nich. Rozwijali kubizm, kontynuowali jego osiągnięcia, jego cechy pozytywne i zdrowe.

To nie jest bynajmniej złoty środek. To jest rozsądny, wielki nurt współczesnego malarstwa.

WŁADYSŁAW LECH TERLECKI

PORTIER

„...Das Lebens Mai blüht enimal und nicht wieder..."

NA początku rozmowy znalazł się ten motyw z Schillerowskiego wiersza. Niech posłuży jako jej motto.

Żałuję, że nie było w naszej trzyosobowej ekipie malarza, albo fotografa. Boję się po prostu tego, że z zamierzonego portretu zostanie tylko nie najpełniejszy szkic. Powiem tylko, że człowiek odwołujący się do Schillerowskiego cytatu żyje naprawdę. Jest niski. Ma łysą, pomarszczoną głowę i niebieskie, nieco przyblakłe oczy, przypatrujące się uważnie spoza szkieł w niklowej oprawie.

Początek naszej rozmowy, jak zwykle początek każdej pierwszej i przypadkowej rozmowy musiał być banalny. Pochylaliśmy się nad zdjęciem dostojnego staruszka profesora, którego osoba stała się ostatnio dosyć modna z racji obchodzonego jubileuszu.

Okazało się, że rozmówca zna staruszka.

— Interesowałem się dawniej, proszę pana — opowiada zapalając cygaro — starożytnością. Chciałem się nawet doktoryzować, ale matka zasłabła i nic z tego nie wyszło...

Najwyższy czas, żeby uprzytomnić czytelnikowi miejsce, w którym odbywała się opisywana rozmowa. Jeden z miejscowych hoteli. Parter. Pokój portiera. Dwa fotele, mały stolik z nocną lampką o obdartym abażurze, tablica z numerami pokojów.

Paradoks zaś polega na tym, że mój rozmówca jest portierem, do którego interesanci, hotelowi goście zwracają się dosyć ironicznie per „panie profesorze".

Tajemnica nie jest specjalnie skomplikowana. Można ją nawet dokładnie odszyfrować.

Bohater tej opowieści pracował po wojnie w jakimś technikum drzewnym na Ziemiach Zachodnich, gdzie wykładał technologię. Wspomina, że tej technologii nauczył się sam. „Zawsze trzeba się czegoś uczyć. Człowiek wie stale za mało".

Jaka była jego droga z gimnazjalnego budynku do hotelu — nie mówi. Kiedy chciałem poznać tę część tajemnicy — rozmówca przerwał tamte — jak je określił — „wspomnienia" i zapytał ściszonym głosem:

— Pan się kontaktuje z ministerium?

Nie wiem, o co mu chodzi.

— Bo, proszę pana, dużo się tu mówi o redukcji etatów. Nic pan na ten temat nie słyszał?... Mogą mnie stąd wyrzucić. Co będę robił?

Odpowiadam, że redukcja polegać ma na przeniesieniu z biurowej pracy niepotrzebnych a zdolnych do produkcji ludzi, którzy znajdą zatrudnienie w zakładach przemysłowych.

Jakoś nie wierzy.

— Dlaczego nie znalazł pan innej pracy?

— W szkole nie ma etatów.

— A gdzie indziej?

— Gdzie indziej, gdzie indziej — irytuje go to pytanie — Co komu po mnie? Znam kilka języków — to prawda, ale...

Właśnie to „ale". Kiedyś miałem okazję rozmawiać z „powiatowym działaczem kultury". Powiat, w którym pracuje zawodowo ten działacz bez pełnego średniego wykształcenia leży bardzo blisko starej osady, zwanej dawniej Kobylą Górą. Nawet bardzo blisko. Kręciliśmy wtedy głowami: N i e m a o d p o w i e d n i c h l u d z i, proszę was... Mówił działacz. Przyjrzałem się wówczas całemu „aparatowi kultury". Dwie głupkowato uśmiechnięte panny w pstrokatych spódniczkach, kilku młodych, chyba zaledwie dwadzieścia lat liczących wyrostków — to byli pracownicy Powiatowego Oddziału Kultury. Problem był oczywisty. Powiat pozostaje do dziś na „końcu świata".

— Nie ma ludzi.

Rozkładaliśmy ręce. I napisałem po powrocie do Warszawy alarmujący list o... potrzebie uregulowania personalnych zaniedbań.

Teraz rozmowa z uczonym portierem zaczyna nabierać stopniowo charakteru jakiejś nieznośnej anegdoty.

— O co chodzi?

Może portier jest wrogiem? Śmieję się do tych przypuszczeń. Wróg studiujący Tertuliana, zbierający „stare szpargały" i oddający je do muzeum, wróg tłumaczący Szarzyńskiego?!... Stary człowiek łaknący wiedzy, posiadający tę wiedzę w większym stopniu niż niejeden młody nauczyciel gimnazjalny?..

Portier studiował na cesarskim uniwersytecie w Wiedniu. Padają znane dawniej, dziś już zapomniane nazwiska wielkich naukowców.

— Jest kraj — mówi — dokąd można zawsze uciec. Nawet z tej portierni... Stara, dobra Grecja. Ale z kim z hotelowych gości można o tym rozmawiać?

Teraz dopiero zaczyna mi być wstyd. Wstyd za całą tę zaskakującą scenerię, za hotelowego Homera, o którym portier mówi mrużąc oczy, za banalny na pozór Schilerowski cytat: „...Das Lebens Mai blüht enimal und nicht wieder..."

Po studiach, kiedy matka profesora zapadła na zdrowiu, zaczął uczyć. Potrzebna, bolesna rezygnacja z dawnych ambicji.

— Teraz — mówi uśmiechając się spoza chmury niebieskiego dymu — żałuję tej swojej wiedzy. Wolałbym być lekarzem. Piękny zawód, prawda?.. Może piękniejszy od zamiłowań do łacińskich manuałów... Co kogo tutaj obchodzi na przykład Erazm z Rotterdamu?

Rozmowa zaczyna być coraz bardziej chaotyczna. Do pokoju wchodzi „kapral Wilusia". Staruszek zajmujący się paleniem w kotle do centralnego ogrzewania. Znowu wracamy do wspomnień. „Kapral Wilusia" opowiada frontowe dykteryjki. Potem patrzy na mnie uważnie i mówi:

— Na wojnie to raz jest dobrze, a kiedy indziej trzeba gotować trawę, no nie? Ale, żeby się powtórzyło — uchowaj Boże!

Od strony zrujnowanego dworca przechodzi gromada pijanych wyrostków. Ich niespokojny, urywany śpiew zapełnia mroczną ulicę z gazowymi latarniami.

Profesor opowiada o malarstwie. Przypominamy sobie włoskie albumy.

— Szkoda, że pan tego nie widział na własne oczy.

Włochy przeszedł razem z austriackim wojskiem. Nie w czasie podróży do wód, jak by tego oczekiwali pedantyczni poszukiwacze wrogów.

„Kapral Wilusia" znudzony rozmową wychodzi do piwnicy. Dalej — palimy papierosy wsłuchując się w monotonny szelest zegara.

Wiem, że można tu pisać o krzywdzie. Z całą odpowiedzialnością. Krzywda jednak nabiera tym groźniejszego wymiaru, jeżeli dotyczy nie tylko jednego człowieka.

„...Das Lebens Mai blüht enimal und nicht wieder..."

Jaki, mimo wszystko, nieprawdziwy wydaje się ten Schillerowski cytat!

Nie chcę unikać słów wielkich. Rewolucja dała ludziom możliwość przeżywania bardzo długiej młodości. Często widzimy przecież „starych" ludzi, których zapał jest tak porywający, że tworzy wielkie dzieła. Frazes? Tak może chcieliby nasi wrogowie. W każdym razie takich ludzi znam nie tylko z filmów. Znam ich wszędzie tam, gdzie nie zaczyna się „koniec świata".

Rys. Krystyna Maślanka

Ale poco ta historyjka o skrzywdzonym portierze?

Chodzi o to, że są w Polsce miasta złe, szare — miasta o stężonej nudzie.

— Nie ma życia.

Skarżą się mieszkańcy. I zapisujemy te skargi w swoich notesach.

— „Bo nie ma kto tego życia ożywić!"

— „Nie ma kadrów..." — jak powiada pewien młodociany powiatowy „działacz kultury" z szczerą troską o dobro sprawy.

Powiecie — emerytura. Emerytura — to byłoby właściwie ustawienie człowieka, o którym była mowa powyżej. Ale poza emeryturą rewolucja daje człowiekowi coś więcej. To jest prawda, w którą portier-uczony wierzy. Mimo wszystko. Propozycje emerytury wyśmiałby zresztą sam.

— Mam jeszcze wiele do zrobienia. I nie mogę... — wspomniał na koniec rozmowy.

Więcej: przedstawiony tu wypadek nie jest przypadkiem. Znam powiatowe muzea, gdzie pracują półanalfabeci (z protekcją!), znam powiatowe PZGS-y, w których znaleźli zatrudnienie ludzie z filologicznymi dyplomami, znam absolwentów, pracujących w kasach kinowych.

I tutaj krzywda zaczyna być groźna. Dopóki „działacz kultury na powiatowym szczeblu" będzie mówić, że „nie ma kadrów"... a hotelowy portier w okolicznym mieście czytać będzie w swojej portierni Owidiusza — miasta te będą „bez życia". „—Bo nie ma kto tego życia ożywiać..." I przypuszczam, procesja płaczek kroczyć będzie w kółko przed Ministerstwem Kultury. Jak dotychczas.

Nie mówiłem o tym wszystkim z przypadkowym rozmówcą. Na dnie całej tej rozmowy osiadł gdzieś żal. Wychodziłem z portierni pożegnawszy się z nim tak, jak żegnają się ludzie po pierwszym i zarazem ostatnim spotkaniu.